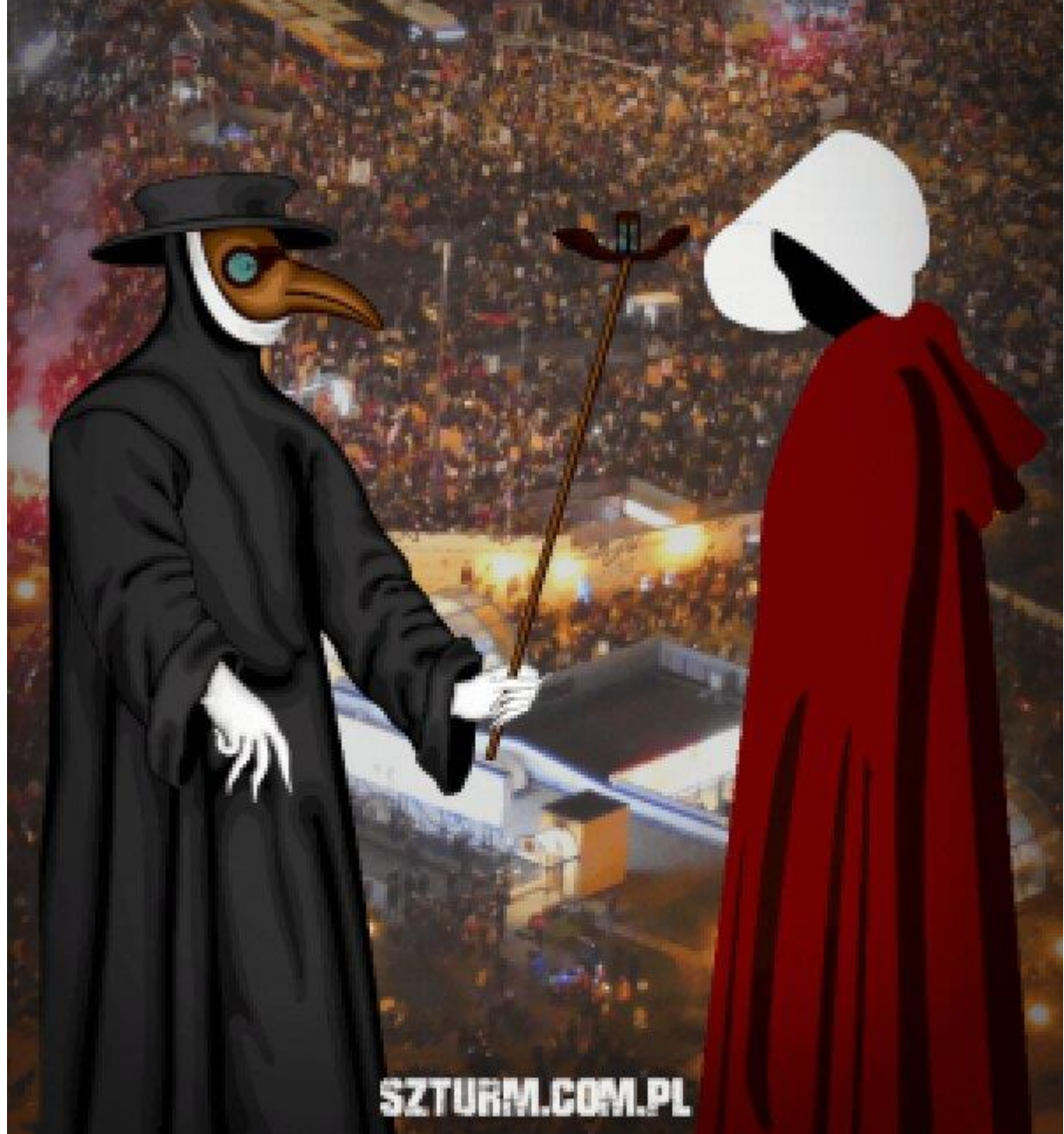


szurm.com.pl

SZTURM

miesięcznik narodowo-radyczny nr 10/2020 (73) ISSN 2450-5439



SZTURM.COM.PL

Spis treści

Grzegorz Ćwik - Tak, to jest wojna	3
Grzegorz Ćwik - O polityczność nacjonalizmu	8
Grzegorz Ćwik - Wielobiegunowość	16
Świat jednego bieguna	17
Wielobiegunowość	20
Monika Dębek - Nacjonalizm a hedonizm i konsumpcjonizm	26
Adrianna Gąsior - Końcówka października okiem nacjonalistki	28
Witomysł Myduj - Zasmucona Mokosz	33
Jarosław Ostrogńew - Julki, karyny i średniacy. Kilka uwag o strajku kobiet	37
Michał Ostrzycki - Solidaryzm, nacjonalizm, strasseryzm	47
Maksymilian Ratajski - To jest wojna	54
Karol Śląski - Społeczna szczelina, czyli jak pękła Polska	65
Norbert Wasik - Zarys myśli samorządowej w narodowo-radykalnych koncepcjach okresu międzywojnia	72
Henryk Witkowski - Kiedy przyjdą podpalić dom	79
Wywiad z Socjalną Alternatywą	81

Grzegorz Ćwik - Tak, to jest wojna



Wspólny front liberalów, feministek, skrajnej lewicy, politycznej opozycji, anarchistów, neoliberalów i jeszcze paru środowisk wypowiedział nam wojnę. Nie, nie dramatyzuję, nie przekręcam słów, nie zmieniam żadnego kontekstu. „To jest wojna!” – tak brzmi ich hasło. Nie chodzi tu o żaden wyrok Trybunału Konstytucyjnego, to tylko pretekst. Nie chodzi o żadne rzekome „piekło kobiet”, żaden wyzysk czy łamanie praw człowieka. Spójrzcie kto za tym stoi i kto to popiera. Te same wstrętne mordy lewicowo-nihilistycznej rewolucji, które od lat odbierają nam smak życia. Na czoło wysforowała się pani Lempart, która wprawdzie z gigantycznej afery reprivatyzacyjnej we Wrocławiu się nie wypowiedziała dotąd, ale nie przeszkadza jej to rzucać na lewo i prawo groźby wobec praktycznie całego Narodu.

Myślicie, że chodzi o tzw. „kompromis aborcyjny”? Przecież środowiska organizujące protesty mówiąć wprost, że ich postulatem nie jest

kompromis, bo ten uważają za zgniły, ale pełny dostęp do aborcji na życzenie.

Spontaniczne protesty? Toć przecież to powtórka tzw. „czarnych protestów”, które zaśmiecają kolejne polskie miasta od 5 lat. Trzeba być ślepym, by nie widzieć, że ludzi ci po prostu czekali na dowolny pretekst. Do tego mają doskonale świadomość, że w dobie pandemii nastroje społeczne są specjalnie podkręcone i łatwo o eskalację i umasowienie protestów. Niezależnie od tego ile osób w nich bierze udział i jak optycznie mało jest w nich zaangażowanych skłotersów, anarchistów i liberałów, to właśnie oni są organizatorami tychże wydarzeń i to oni im nadają ton.

Sami stwierdzili, że przestali „być mili”, że teraz pora na radykalizm. Że teraz już nie będą tylko protestować, ale posuną się dużo dalej. Profanacje mszy i kościołów, ataki na księży, postulaty wykluczenia katolików z pracy w sektorze państwowym od kilku dni stały się codziennością życia publicznego w Polsce. Obserwujemy lewicową i liberalną nienawiść i histerię odarte już z latek „tolerancji” i wydestylowane do czystej postaci.

Tak, to jest wojna. Wojna wypowiedziana normalności przez zło, degenerację i nihilizm. Wojna wypowiedziana polskim rodzinom, tradycji i kulturze. Przestali owijać w bawełnę i wprost przyznają, że to katolicy są winni „piekła kobiet”, że każdy mężczyzna to szowinista, że przecież protesty mają prawo rozszerzać pandemię i utrudniać życie zwykłym ludziom. W ich optyce bowiem my wszyscy, jeśli tylko choć trochę uznajemy normalne role społeczne, rodzinę, religię czy tradycję, to jesteśmy winni. Niczym awangarda rewolucji 1917 roku nasi wrogowie uznają się za nosicieli jedynej słusznej prawdy, a wszystkich pozostałych uznają *ad hoc* za swych wrogów lub ich cichych sojuszników. Stąd nieliczenie się z kosztami społecznymi i ekonomicznymi swego ekstremizmu. To jest wojna. Wojna przeciw nam.

Część naszego państwa, włącznie z sektorem budżetowym (administracja) wspiera protesty. Ci sami, którzy apelują, że tegoroczny Marsz Niepodległości jest „bombą epidemiologiczną” nie mają problemów uznać jednocześnie protestów za bezpieczne. Firmy, samorządy, instytucje społeczne w coraz większej liczbie afirmują trwające rozruchy. Brak odpowiedzialności i posunięte do skrajności partyjniactwo jest tu aż nadto widoczne.

Na tej wojnie, wojnie wypowiedzianej nam i naszym rodzinom, jesteśmy żołnierzami. To nie jest tak, że protesty nas nie dotyczą. Biorąc pod uwagę ich organizatorów, kontekst i cele jakie sobie stawiają jak najbardziej obecna sytuacja dotyczy nas wszystkich.

Ich celem nie jest sama aborcja i konkretne unormowanie prawne tej kwestii. Ich celem jest wywrócenie każdej normy, podważenie każdego dogmatu tradycyjnego świata. Aborcja to tylko pierwszy temat, po nim przyjdą następne i walka o nie przybierze identyczne, a może i ostrzejsze formy. Tzw. prawa lgbt, masowa imigracja, eutanazja, lokalna wersja BLM – to logiczna konsekwencja tego, co dzieje się dziś na ulicach. Każdy z nas jest żołnierzem, każdego i każdą z nas uważają za swojego wroga.

Nie ma znaczenia czy jesteś katolikiem czy nie, czy uznajesz autorytet Kościoła Katolickiego czy nie. Gdyby to faktycznie chodziło o kwestie katolicyzmu i Kościoła to byłaby sprawa dość prosta i jasna. Tymczasem chodzi o agresję dużo szerszą niż gimnazjalny antyklerykalizm. Chodzi o cały świat tradycji, normalnego rozumienia pojęć, takich jak chociażby „rodzina” czy „kobieta”.

To co widzimy to przede wszystkim histeryczny wrzask skrajnego indywidualizmu przeciwko obowiązkom wobec wspólnoty. Tym obowiązkiem jest spłodzenie i urodzenie dziecka. A co do chorych dzieci, tych z zespołem Downa – rozumiem, że indywidualistkom nie podoba się,

że taka opcja burzy ich świat marzeń i idealnych wizji, gdzie cieszą się sukcesami swoich dzieci. Ale jeśli już zdarzy się, że urodzisz dziecko z zespołem Downa to nadal jest Twoje dziecko, a Twoim obowiązkiem jest je chronić i kochać.

Ja jako rodzimowierca nie mam najmniejszych wątpliwości, że obowiązkiem moim jako nacjonalisty i Polaka jest staniecie w jednym szeregu z tymi, którzy bronią kościołów przed dewastacją i profanacją. Sztuczne rozdmuchiwanie wojenek religijnych w środowisku czy twierdzenie, że sprawa dotyczy tylko katolików jest niedorzeczne. Wszyscy normalni nacjonaści stają w jednym szeregu jak bracia. A Ty? Staniesz z nami, czy nie jesteś może bratem?

Nasz obowiązek to walka. Wypowiedziano nam wojnę. To niezły progres w stosunku do poprzedniego wypadku wojny, wówczas o niej dowiedzieliśmy się z huku bomb wybuchających na terenie polskich miast oraz z artyleryjskiej palby niemieckiego pancernika zakotwiczonego niedaleko Gdańska. Tym razem chociaż wypowiedzieli nam wojnę. I zwyciężymy, a właściwie już zwyciężamy. Chcieliście wojny, i ją dostaniecie. Jak powiedział pułkownik Beck – „To proste, będziemy się bić!”.

Nie chodzi tu o namawianie do agresywnych zachowań, ale do twardej i nieustępliwej obrony tego, czego nie możemy im oddać. Nie pora na pieśni i wiersze, pora na twardy bój. Całe nasze życie publiczne i prywatne przestawiamy na specjalne tory. Nasz wysiłek iść musi w jednym kierunku – w kierunku ostatecznego zwycięstwa.

Ci którzy wypowiedzieli nam wojnę zapomnieli o jednym. O tym, że kto wiatr sieje, burzę będzie zbierał. Nacjonaści w całym kraju stanęli do walki niczym w stalowych burzach. I nie mam wątpliwości, że zwyciężymy.

Grzegorz Ćwik

Grzegorz Ówik - O polityczność nacjonalizmu



Nacjonalizm to idea uniwersalna i holistyczna. Znaczy to między innymi to, że uważamy, iż powinna obejmować każdy aspekt naszego życia i regulować ogół stosunków politycznych, kulturowych, społecznych, ekonomicznych, pracowniczych i innych. Drogi do tego i metody osiągania tego celu są oczywiście różne i (o czym wiele razy pisaliśmy w „Szturmie”) o żadnych nie powinniśmy zapominać. Publicystyka, działalność społeczna, medialna, metapolityczna, charytatywna, uliczna – to wszystko generalnie w tym czy innym stopniu jest realizowane. Mimo to trudno nie mieć wrażenia i poczucia, że właściwie niespecjalnie przybliżamy się do celu, jakim jest upowszechnienie nacjonalizmu i nasycenie nim przestrzeni oraz dyskusji publicznej.

Sądzę, że jednym z powodów tego jest utrata poczucia polityczności przez polski nacjonalizm i nacjonalistów. Według Carla Schmitta czy Giovanni Sartoriego polityczność to zbiór decyzji, które dotyczą całych zbiorowości,

na które składają się mniejsze jednostki organizacyjne, jak rodziny, czy przedsiębiorstwa, lecz dopiero jako całość stanowiące zbiorowość, dopiero wobec której decyzje mają charakter polityczny. Z kolei Max Weber polityczność upatrywał w działaniu polityków i politycznie czynnych obywateli, na szczeblu państwa, czyli tam, gdzie występuje polityka we właściwym tego pojęcia znaczeniu.

Zahaczamy tu o kwestie rządzenia i bycia czynnikiem decydującym o losach państwa. Daleko oczywiście, nawet bardzo do tego polskiemu nacjonalizmowi. I tu leży zasadniczy problem! Otóż polski nacjonalizm całkowicie porzucił dążenie do takiej polityczności oraz analizowanie rzeczywistości i konstruowanie swojej narracji w oparciu o ową polityczność. Polityczność możemy rozumieć tu jako zdrową dążność do rządzenia państwem oraz posługiwanie się pojęciem racji stanu. Tymczasem polski nacjonalizm, cały czas nasiąknięty w wysokim stopniu subkulturyzacją i hemeretycznością, właściwie całkowicie oddał to pole.

Spójrzmy na lewicę i naszych ideologicznych wrogów – liberalnych „antyfaszystów”, wszelkie kolektywy etc. ich działanie, jakkolwiek jarmarczne i żalotne, nakierowane jest od początku do końca na całościowe przemodelowanie świata aksjologii i kultury. O ile ludzie ci nie posiadają *de facto* swojego przedstawicielstwa politycznego, o tyle ich działania są polityczne. Wywołują polityków i publicystów do tablicy, nie pozwalają na pozostanie wobec nich neutralnym, są niezwykle medialne i dobrze zaplanowane właśnie w kierunku dotarcia nimi do jak największej liczby ludzi.

Co w tym czasie robią polscy nacjonałiści?

Kleją plakaty i wlepki, realizują akcje charytatywne, co jakiś widzimy się wszyscy na tym czy innym marszu, poza tym oczywiście wspólne treningi, malowanie, piękno ulicznego nacjonalizmu. Jak to się ma do potrzeb

naszego Narodu? I nie mówię tu o potrzebie social-mediowego przekonywania samego siebie, ale o elementarną próbę obiektywizmu? Ano nie bardzo się ma, prawda? Wygląda to wszystko trochę, a nawet bardzo tak, jakbyśmy nie chcieli wziąć odpowiedzialności za nasz Naród i nie pragnęli władzy, aby Naród ten uratować.

Dokładnie tak – władzy! Władza, rozumiana szeroko, zarówno instytucjonalnie jak i metaopolitycznie, to realny wpływ na państwo i Naród. Stojąc na wiecznym marginesie i oczekując gwiazdki z nieba możemy odnosić taktyczne i okresowe zwycięstwa, ale ostatecznie przegramy. Zrozumieli to dawno liberałowie, lewica, nawet cyrkowcy z Konfederacji. Nacjonalizm nie jest tylko zabawą na to, kto jest prawdziwy, a kto nie. To nie tylko szermierka słowna z naszymi oponentami. To przede wszystkim dążność do jak największego wpływu na ludzi i funkcjonujące kategorie poznawcze oraz publiczny dyskurs. Jak mamy to zrobić zaś, gdy dalej tkwimy w mani tworzenia nieformalnych, lokalnych ekip, oczywiście koniecznie „bez lidera” i wszystko tajne przez poufne, tylko z polecenia kolegi. Jeszcze by nas za dużo było i trzeba było wyjść ze strefy rebelianckiego komfortu.

To zresztą znamionuje dużo szerszy problem – wyzbycie się przez niezależny nacjonalizm myślenia w kategoriach politycznych, państwowych i poczucia racji stanu. My jako tacy wręcz nie chcemy rządzić, bo przecież politycy to wiadomo – kurwy i złodzieje. Cóż, może tak, ale to oni decydują o naszym życiu, a nawet jak nie tylko oni, to ich wpływ jest tysiącokrotnie większy niż polskiego nacjonalizmu.

Wspomniany Weber politykę zresztą definiował dość szeroko, jako „dążenie do udziału we władzy lub do wywierania wpływu na podział władzy czy to między państwami, czy też w obrębie państwa między grupami ludzi, jakie ono obejmuje”. Z czysto aksjologicznego punktu widzenia nie ma w tym nic złego. Przecież cała historia polskiego

nacjonalizmu w okresie przedwojennym to historia organizacji, które chciały rządzić lub współrządzić! Najbardziej ewidentny przykład to kontrowersyjna postać Bolesława Piaseckiego, który jednak był człowiek politycznym w pełnym tego słowa rozumieniu. Rozumując naprawdę chłodno i w sposób pozbawiony emocji rozumiał, że tylko funkcjonując w ramach polityczności jest w stanie realnie wpływać na Naród. Stąd kolejne jego próby dogadywania się z sanacją, tworzenia struktur w terenie i przejmowania innych (NPR w Warszawie), stąd wreszcie jego decyzja o wejściu w kolaborację z komunistami. Ostateczna ocena z perspektywy całego życia Piaseckiego wypadnie zapewne dość krytycznie, trudno jednak nie dostrzec prawdziwego realizmu politycznego w tym wszystkim. Nie mówię tu o realizmie endeckim, czyli opartym na kapitulancie, skrajnym wyrzeczeniu się inicjatywy i siły, zastąpieniu walki kolaborancem w najgorszym tego wariantcie. Chodzi tu o realizm, który trzeźwo analizują warunki i obiektywne okoliczności historyczne, szukając najbardziej optymalnych dróg i możliwości do realizacji określonych celów. Tyle i aż tyle.

Zastąpiliśmy poczucie polityczności na każdym możliwym poziomie subkulturowym buntem i obrażaniem się na wszystko co nie jest „nasze” (tj. nie należy do naszej wąskiej grupy wartości i symboli). Stąd konflikt Armenii i Azerbejdżanu oceniamy przez pryzmat tego, czy w danym mieście jest silniejszy gang Azerów czy Ormian – bo to dla przeciętnego nacjonalisty najwyższy poziom analizy. Wpływ na Turcję, Rosję, cały Kaukaz, rola nowoczesnych środków militarnych? Kogo to obchodzi, ważne kto w którym mieście ma większe plecy, *ergo* jego ojczyzna automatycznie staje się krajem, któremu życzymy porażki. Tak można by naprawdę długo, wskazując kolejne przykłady dotyczące wydarzeń krajowych i zagranicznych oraz szeregu procesów, które analizujemy na każdy możliwy sposób, tylko nie na ten właściwy – polityczny.

Rozumować politycznie to dla mnie przede wszystkim mieć na uwadze przede wszystkim dobrze rozumianą rację stanu. Ustroje, partie, politycy się zmieniają, ale Naród i Państwo są ponadczasowe i jako takie posiadają wedle kryteriów politycznych niezbywalne interesy i racje, jak choćby suwerenność, decyzyjność etc. Podniecanie się kolejnymi aferami i kryzysami politycznymi na zasadzie „im gorzej tym lepiej” czy wrzucanie do jednego worka bez wyjątku wszystkich polityków każdej opcji nie przybliży nas ani do polityczności ani do sensownie rozumianego realizmu.

O tym jak subkulturowość i kompletne oderwanie od wspomnianej racji stanu przeżarły niezależny nacjonalizm pokazuje analiza historii. W ramach oceny całego czasu aktualnego tematu Września 1939 roku jedni optują za tym, że powinniśmy byli poświęcić suwerenność i wolność i zgodzić się na bycie wasalem III Rzeszy w imię tego, by móc Berlinowi towarzyszyć w drodze na dno w wojnie, która dla Niemiec była przegrana od samego początku. To w ogóle aberracja naszego środowiska, postulować udział w wojnie po...stronie przegranych (sic!). O wyniku wojny zdecydował technologiczno-produkcyjny potencjał Anglosasów i demograficzno-produkcyjny potencjał Sowietów. Więc powiadacie pogrobowcy Studnickich i innych szurów codziennych swej epoki, że słaba, rolnicza i biedna Polska przeważałaby USA, ZSRS i Wielką Brytanię?

Inni znów bredzą coś o tym, że jaki to smutek, że nie mieliśmy rządu kolaboracyjnego, bo ten... No właśnie, co? Jaki był realny wpływ na niemieckie poczynania Petaina, Quslinga i innych bohaterów wydających swych rodaków w ręce Gestapo? Żaden, niemiecki aparat okupacyjny posługiwał się logiką terroru i przemocy, bez oglądania się na żale tego czy innego kolaboranta.

Jeszcze inni żałują, że nie podpisaliśmy pokoju separatystycznego w 1939 roku z Niemcami. Pomijam już, że to Niemcy tego nie chcieli, podobnie jak nie chcieli polskiego rządu kolaboracyjnego, ale pomyślcie chwilę –

wchodzimy do wojny koalicyjnej i światowej, wciągamy do niej Francję, Wielką Brytanię, cały świat, po czym... zrywamy sojusze i wymiksowujemy się z całej zabawy. Oj srodze by nam podziękowano w roku 1945, nie przejmując się niczym i nikim. No ale co tam racja stanu, co tam polityka. Przynajmniej moglibyśmy napisać, że nie byliśmy z demoliberałami w jednym sojuszu.

W XX wieku w historii suwerennej polskiej polityki nikt chyba nie zrozumiał tego czym jest polityczność jak Piłsudski i jego obóz. Ten władzę brał kiedy chciał, jak chciał i sprawował ją tak jak mu się podobało. To sanacja rozumiała, że polityka to nie bratobójcze zamachy na pierwszego polskiego prezydenta, nie szurowskie i histeryczne artykuły, mowy i demonstracje, nie ciągle licytowanie się kto jest bardziej polski. Polityka to kierowanie losami całego kraju, to moc decyzyjna, odwaga do podejmowania i realizowania nawet najtrudniejszych celów i planów. Polityczność to zrozumienie, że ostatecznie liczy się władza i być u władzy – wówczas możemy bowiem faktycznie wziąć odpowiedzialność za własny kraj i Naród. Polityka to nie są apele sejmowe, płacze, żale, nudne i podniesione do rangi legendy 6-godzinne przemowy w Wersalu, których w połowie już nikt nie słuchał, mając doskonale świadomość, że na nic nie wpływają.

Polityka to siła i odpowiedzialność. Piłsudski miał tę siłę, gotów też był wziąć odpowiedzialność za czyn w swej istocie straszny – za zamach stanu i 3-dniową wojnę domową. I to właśnie w wyniku tegoż zamachu Polska z kraju staczającego się w kierunku kolejnego rozbioru (przypomnijmy dwa wydarzenia: Locarno 1922, Rapallo 1925) przeistoczyła się w kraj suwerenny, silny, świadomy swej mocy i potęgi, kraj sterowalny i polityczny. Wreszcie trawestując słowa Komendanta – kraj, który też umie w gębę bić. Nieprawdą jest, że po Piłsudskim rządili ludzie mierni. Można do Becka, Rydza czy Mościckiego mieć pewne zastrzeżenia, ale przyświecała im ponad wszystko polska racja stanu a decyzje podjęte w

roku 1939 choć tragiczne i pełne bólu były najlepszymi spośród istniejących wówczas możliwości. Sanacja miała gotowość rządu, miała świadomość swej mocy sprawczej i odpowiedzialności. Innym jej zabrakło, a jak bardzo to pokazały żalosne rządy generała Sikorskiego, jego przybocznego płk Izydora Modelskiego (obok Zagórskiego chyba najbardziej odrażająca kanalia w WP przed 1939), i całe zjawisko pt. „londyńska emigracja”. Nie było już wówczas polityczności, obowiązku, potęgi, była za to agenturalność, zazdrość, zemsta, mściwość i ciągle obwinianie się i przysłowiowe „sranie do własnego gniazda”. Jak to szło o kurach i polityce?

Polityczność to także, jak pisał Carl Schmitt, podział na przyjaciół i wrogów, to gra polityczna, w której istnieje funkcjonalny podział na tych „dobrych” i „złych”, przy czym ci dobrzy to my i nasi sojusznicy. Kompletnie odwrócenie się na politykę, także międzynarodową, ignorowanie takich układów lub sprowadzanie ich do zbarbaryzowanych i obiegowych schematów to naprawdę droga donikąd.

Polski nacjonalizm jest obecnie daleko od możliwości faktycznego wpływania w skali makro na losy kraju. Całkowity upadek intelektualny, ideologiczny i wizerunkowy Konfederacji może faktycznie odstręczać od jakiegokolwiek zwracania się ku polityce i polityczności. Tymczasem jednak jak sądzę nie ma innej opcji niż dążenie do tego celu – do momentu, gdy to nacjonalizm i nacjonałiści będą sprawować władzę. To jak wielkim błędem jest obrażenie się na politykę, pokazuje przykład francuskiej Nowej Prawicy, której między innymi dlatego już nie ma. Metapolityka, działalność uliczna, charytatywna, formacyjna, kulturowa – tak, to wszystko ma znaczenie i jest niezbędne, ale ostatecznie musi przekształcić się i dać w wynik w postaci nacjonalistycznej polityki i osób, które kierując się poczuciem polityczności będą gotowe rządzić i wziąć odpowiedzialność za państwo i jego rację stanu.

Grzegorz Ćwik

Grzegorz Ćwik - Wielobiegunowość



Jakkolwiek my i miliony innych rebeliantów na całym świecie bronimy się wszelkimi środkami, nie ulega wątpliwości, że świat w którym żyjemy jest absolutnie zdominowany przez jedno mocarstwo i jedną ideologię, czy raczej swoisty miks ideologiczny. Oczywiście są to Stany Zjednoczone Ameryki i fanatycznie przez nie propagowane neoliberalizm, demokratyzm w duchu parlamentarnym, kapitalizm oraz od pewnego czasu jako dodatek równościowo-opresyjny nurt nowej lewicy.

Upadek Związku Sowieckiego i jego pół-kolonialnego imperium w latach 1989-1991 zmienił w kontekście biegunowości świata praktycznie wszystko. Wcześniejszy podział świata na obozy dwóch supermocarstw: USA i ZSRS odszedł do historii, a zastąpił go wieszczony przez niektórych ideologów liberalizmu „koniec historii”. Historia bowiem to konflikty i starcia, a skoro ze wszystkich uczestników dziejowych zmagania pozostał tylko jeden - historia tym samym dobiegła swego kresu. Odtąd królować miała wszędzie logika konsumpcji i rynku, dojść miało do likwidacji wszelkich kulturowych, etnicznych i wspólnotowych wyróżników tożsamości, a w zamian powstać miał *konsument*. Liberalizm bowiem to doktryna jeszcze bardziej materialistyczna niż socjalizm, stąd wszystko musiało zostać przekute w zyski i dające się uchwycić liczby.

I jakkolwiek światowy żandarm, a właściwie – bezpieczniak, USA stał się na kilka dekad po roku 1989 absolutnym światowym hegemonem, to moralna i logiczna porażka konstrukcji „końca historii” szybko stała się widoczna. Opór przeciwko liberalizmowi, kapitalizmowi i duchowej śmierci ciągnącej do nas z zachodu stały się elementami zwiastującymi nadejście świata wielobiegunowego. Na to czekamy, tego chcemy, w tym upatrujemy swojej szansy.

Świat jednego bieguna

Świat, który znamy to świat III RP, która powstała w roku 1989. Świat ten pozbawiony jest generalnie konfliktu ideowego w wymiarze światowym, a przynajmniej jeszcze do niedawna tak było. Od samego początku narzucono nam podległość i niewolniczy stosunek do zachodu i jego zwycięskiej „trzeciej teorii politycznej” (według podziału Dugina). Zarówno ideologicznie, jak i formalnie staliśmy się niewolnikami owego jedyne go bieguna – czy to poprzez umowy z Bankiem Światowym, czy Międzynarodowym Funduszem Walutowym, czy z czasem poprzez bycie członkiem UE i NATO.

Świat jednego bieguna oznacza, że wszystko płynie od niego oraz do niego. To z niego wypływa strumień ideologiczny, który rozlewa się na cały świat, to z niego wywodzą się formalne struktury, które sieciowo opanowują coraz to nowe kraje. Z drugiej strony to do owego bieguna spływają polityczne, geopolityczne i ekonomiczne profity bycia absolutnym hegemonem.

W takim układzie racjonalna i suwerenna polityka jest czymś ciężkim do realizacji, jeśli w ogóle możliwym. Ciężko uchwytnie zależności, ponadpaństwowe i ponadprzestrzenne uwarunkowania wpływają na malejące możliwości władzy politycznej danego kraju. Do tego jeszcze autentyczne zachłyśnięcie się naszego Narodu i całego regionu kulturą i polityką amerykańską było czynnikiem mocno drenującym jakiegokolwiek sensowne możliwości sterowania państwem 40 milionowego Narodu.

Kompletny brak alternatywy dla USA, zwłaszcza ideologicznej i ekonomicznej, sprawiło, że *nolens volens* kraj nasz stał się integralną częścią imperium atlantyckiego. Szybka, wręcz galopująca i równie bezrefleksyjna integracja z zachodnimi strukturami umocniła tylko nasze uzależnienie od waszyngtońskiego hegemonu.

Świat jednobiegunowy to świat determinizmu – oczywiście już nie socjalistycznego, ten bowiem przegrał, a kapitalistycznego. I mówimy tu nie o społecznym kapitalizmie niemieckim czy skandynawskim, ale najbardziej nieludzkim kapitalizmie anglosaskim. Niskie pensje, bezrobocie jako element świadomie wprowadzony, prywatyzacja sektora państwowego oraz sektora socjalnego, elastyczne formy zatrudnienia czy wreszcie wyzysk i pomijanie praw pracowniczych – to wszystko realne skutki dostania się pod wpływ owego bieguna. Gdy rozmawiamy o balcerowiczowskim puczu z roku 1989 uderza to jak bardzo polscy decydenci polityczni utwierdzeni byli w przekonaniu, że nie ma innej drogi. Wręcz chciałoby się przywołać słynne powiedzenie Margaret Thatcher: „There is no alternative”. Właśnie to stanowi największy problem świata wielobiegunowego – brak alternatywy.

Właściwie cały zachód podążą tą samą drogą, jedyna różnica jest taka, że kraje postsowieckie odpowiednio później odstały się pod władanie czynników waszyngtońskich czy brukselskich. Logika zysku i optymalizacji kosztów oraz niwelowania strat, przeświadczenie o konieczności

osłabiania państwa czy likwidacji jego uczestnictwa w gospodarce, wreszcie uznanie prymatu międzynarodowych organizacji nad państwami narodowymi – wszystko to znamionuje znany nam świat. Elementy te nie biorą się znikąd, podobnie jak znikąd nie wzięli się zwolennicy rynku kapitalistycznego, walki o prawa „represjonowanych” etc. To celowe i konsekwentne oraz systematyczne działania USA. Instalowanie powolnych sobie rządów, które zawsze idą drogą liberalizacji ekonomicznej oraz wierności sojuszowi z USA jest znanym nam z każdego kontynentu scenariuszem. Brak przeciwdziałania lub jego niewielkie znaczenie wynika właśnie z podkopującej morale świadomości, że nie ma alternatywy. W końcu cały świat mówi po angielsku, ogląda amerykańskie seriale, czyta amerykańskie komiksy, je amerykańską chemię nazywaną czasem nieopatrnie „jedzeniem”, a w polskim metrze pokazywane są skróty meczów NHL i NBA. Czemu nie skróty mecz polskich lub chociaż europejskich lig? Dlatego, że kraje jak Polska dla USA są po prostu nową formą imperium kolonialnego.

W świecie jednobiegunowym nie ma miejsca na własną politykę międzynarodową i własne koncepcje geopolityczne. Tu wszystko podporządkowane jest rozprzestrzenianiu się amerykańskiej kultury, ekonomii i wpływów politycznych. Dumne i mające przez długi czas własną wizję naszego regionu państwo jakim była Polska, zostało zdyskontowane do roli swoistego lotniskowca, czyli dużej bazy wypadowej dla amerykańskiej polityki i jej celów na wschodzie. Zarówno w okresie Rewolucji Godności, jak i obecnie podczas rozruchów po wyborach na Białorusi uderza to, że nasza polityka to tylko przedłużenie polityki sił zachodnich. Chcemy liberalizować, demokratyzować i urynkawiać Białoruś. Jaki w tym cel Polski? Żaden oczywiście. Natomiast cel USA i ich paradygmatów geopolitycznych, od dekad zresztą niezmiennych, jest tu bardzo łatwy do wskazania. Trudno w takich warunkach w ogóle próbować prowadzić politykę suwerenną, bo czym tu Waszyngton straszyć? Zwłaszcza w kontekście faktu, że idee i aksjomaty płynące z za wielkiej

wody przyjęły i wszystkie kraje starej Europy, poza jednym wszystkie kraje „nowej” Europy, a do tego potężna liczba państw w innych regionach.

USA ma przy tym naprawdę rozległe zaplecze ideologiczne. Czy swoje ośrodki badań geopolitycznych, czy grupę chicagowską, czy wszelkiej maści intelektualistów, którzy chętnie oddadzą swoje usługi amerykańskiej wizji ładu i sprawiedliwości – amerykańskość ma wiele rzek, którymi potrafi wlać się do naszej rzeczywistości.

Wielobiegunowość

Ten ład jednak powoli odchodzi do lamusa. Historia bowiem ani się nie skończyła, ani nie wyzbyła swojej logiki i prawideł. Żadne imperium nie jest więc wieczne, a tym bardziej jeśli samo hoduje i rozpowszechnia ideologiczne trucizny, które ostatecznie przestają działać pozytywnie dla Waszyngtonu i powoli zaczynają drenować amerykańskość w rozumieniu dotychczasowej świadomości obywateli tego imperium.

USA słabnie – ekonomicznie, militarnie, kulturowo i propagandowo. Przede wszystkim jednak rosną mu naprawdę potężni konkurenci. Chiny to przykład oczywisty, pamiętajmy jednak, że tuż za nimi są żądne potęgi Indie. Do tego cały Daleki Wschód przeżywa renesans i rozwój, jednocześnie coraz mocniej odrzucając amerykańskie wpływy. Japonia pomimo problemów demograficznych nie rezygnuje ze swojej kulturowej wyjątkowości i coraz jawniejszych aspiracji. Także w innych regionach świata coraz bardziej widać kształtowanie się odrębnych wielkich przestrzeni, które coraz mocniej ciążą ku przeciwstawieniu się neoliberalnemu paradygmatowi. Ameryka Południowa, Afryka, cały czas

mocarstwowa Rosja – jest naprawdę dużo ośrodków, które nie chcą uznać supremacji Waszyngtonu.

Nie ma większych wątpliwości, że świat wielobiegunowy powstaje na naszych oczach. Oznacza to nie tylko zwiększenie możliwości politycznych, ekonomicznych czy militarnych jednych regionów, a osłabienie dotychczasowego supermocarstwa. Świat wielobiegunowy to przede wszystkim świat, w którym jest miejsce na różne narracje, różne kody kulturowe, różne systemy wartości. To świat, gdzie jest alternatywa, a do tego alternatywa ta nie musi być, tak jak liberalizm i kapitalizm, zabójcza dla naszej rodzimej kultury i tożsamości. Rosja, Chiny czy Indie z pewnością wytworzą alternatywne bieguny, które będą oparte na właściwym tym krajom wartościom i tradycjom. Nie rzecz oczywiście w tym, by przyjmować te systemy kulturalne, ale widzieć trzeba w tym ogromną dywersyfikację wzorców ideowych, jakie funkcjonować będą już całkiem niedługo w przestrzeni publicznej – nawet jeśli początkowo nie na równych warunkach. Sam zresztą fakt, że kultura Chin, które lada chwila już oficjalnie prześcigną USA na miejscu mocarstwa numer jeden, jest oparta o wartości tradycyjne, rodzinę, wspólnotę i hierarchię każe widzieć w tym pozytyw.

Wiele biegunów w geopolityce i polityce światowej to przede wszystkim możliwość prowadzenia normalnej, suwerennej polityki. To także świat, który wraca do pojęcia „wielkiej przestrzeni” Carla Schmitta. W geopolityce bowiem liczą się właśnie przede wszystkim przestrzenie, nawet – a może szczególnie! – dla dużych krajów jak Rosja czy Chiny. Wielka przestrzeń to przyszłość także dla nas. Ani my, ani żaden nasz sąsiad nie ma potencjału do samodzielnej budowy siły, która będzie partnerem dla nowych potęg. To rzecz jasna i oczywista. Dlatego już przed II wojną światową Carl Schmitt zauważył, że w polityce międzynarodowej liczyć się będą wielkie przestrzenie – połączone nie tylko przez geografę, ale także wspólną kulturę, ekonomię, sferę militarną. Tak rozumiana przestrzeń

wykracza, zwłaszcza w wypadku naszego regionu, daleko poza wąskie ramy jednego państwa narodowego.

Tak rozumiana wielka przestrzeń to dla nas Międzymorze. Oczywiście, nie chodzi tu o Międzymorze jakie różni sowieciarze i putinowcy nam zarzucają, czyli to w ramach Pax Americana. Międzymorze to dla nas nasza własna kultura i tradycja – kultura i tradycja Wschodniej Europy. To szeroko rozumiany blok, który swoją wielkością, potencjałem i przestrzenią, oraz świadomością odrębności biegunowej będzie w stanie stać się jednym z biegunów nowego świata. Nie ma co bowiem ukrywać – na obecną chwilę coraz bardziej widać rozdźwięk między tym, co my nacjonałiści nazywamy Europą, a tym czym jest ona na obecną chwilę. Europa dziś to spełnienie spenglerowskiego snu o upadku Zachodu. Ten sam Spengler zresztą twierdził, że istnieją dwie Europy, a nie jedna, i stanowią one zupełnie inną jakość: Europa Zachodnia i Wschodnia. Jakkolwiek można mieć niemałe zastrzeżenia do tego twierdzenia, to przecież dziś widzimy też rozdźwięk, z czasem coraz wyraźniejszy, na zachodnią Europę, która już całkiem padła ofiarą liberalizmu i idei nowolewicowych i na Europę wschodnią, gdzie pokłady konserwatyzmu cały czas są duże.

Międzymorze w naszym rozumieniu to przede wszystkim obszar wspólnej kultury, wartości, ekonomii oraz projektów technologiczno-cyfrowych. Międzymorze tak rozumiane nie może być rozgrywanym dalej przez USA elementem NATO czy jakiegokolwiek innej atlantyckiej struktury. Stanować musi odrębną i suwerenną siłę, własny biegun, gdzie znajdzie się miejsce dla poszanowania etniczności i tradycji, roli rodziny i wspólnoty, tradycyjnych ról społecznych i płciowych czy wreszcie szacunek dla religii i duchowości. Tak rozumiana wielka przestrzeń byłaby spójnym projektem, które łączy nie tylko geografia, na co wskazuje geopolityka klasyczna, ale przede wszystkim aksjologiczne i cywilizacyjne podstawy bytowania – a więc to, na czym skupia się geopolityka krytyczna. Fakt, że

kraje naszego regionu łączy wspólny kod kulturowy, często pokrewieństwo etniczne, językowe, kategorie, przez pryzmat których analizujemy i wartościujemy rzeczywistość uzupełnia *stricte* polityczne paradygmaty bytowania.

Wracając jeszcze do podziału na zachodnią i wschodnią Europę. Oczywiście jako nacjonałści zakładamy, że idea paneuropejska zwycięży i dokonamy Rekonkwisty. A jeśli jednak nie?... Wówczas właśnie Międzymorze, kreujące własny biegun w świecie różnych kodów i wektorów, będzie naszym *Festung Intermarium*. To nasza szansa, by bez oglądania się na Brukselę i Berlin przetrwać czas nadchodzących przebiegunowań i zmian geopolitycznych.

Najwyższa pora, aby nasza część Europy zrzuciła jarzmo podległości i zależności, jakie narzucano nam po 1989 roku. Nie chodzi tu o to, byśmy koniecznie dążyli do konfliktu z Europą Zachodnią, czy nawet Rosją. Nie mówimy o powrocie do świata dwubiegunowego, ale wielobiegunowego. A więc świata, gdzie będzie miejsce dla zupełnie nowego jakościowo projektu: dla Międzymorza! Międzymorza, które układa życie w swoim domu, tak jak podpowiada mu to historia i obiektywne czynniki naszego, wschodnioeuropejskiego pojmowania rzeczywistości. Międzymorze to szansa przede wszystkim na suwerenność i wolność – od Zachodu w rozumieniu liberalizmu, od Rosji, od atlantyzmu. Wychodząc poza wąskie ramy geografii i polityki stworzylibyśmy cywilizacyjne imperium, wielką przestrzeń, która ma swoją szczególną charakterystykę jak i misję. I misja ta nie musi stać na pozycji wojowniczości wobec czy to liberalnego Zachodu, który powoli umiera, czy wobec Rosji, która też ma sporo strukturalnych problemów.

Jesteśmy w stanie wytworzyć blok Międzymorza oparty o partnerskość w polityce, tradycyjną kulturę, organiczne społeczeństwo i ekonomię, wysoką (może nawet fanatyczną) dbałość o środowisko naturalne, powrót

do wierzeń integralnie związanych z naszą ziemią i historią. Jesteśmy w stanie odrzucić paradygmat konsumpcji i hedonizmu, na rzecz wspólnotowego rozwoju i przewagi duchowości nad materią.

Przez lata okupacji komunistycznej a następnie atlantyckiej zapomnieliśmy, że kraje naszego bloku, kraje Europy Wschodniej, mają swoją kulturową i tożsamościową wyjątkowość – i stanowi to nie żadne zacofanie, wstyd czy powód do samobiczowania się, ale autentyczną i unikatową wartość, na podstawie której budować możemy własną wizję życia i świata.

Wizja ta to wizja zupełnie nowego jakościowo wschodnioeuropejskiego Heartlandu, który opierając się na kulturze słowiańskiej, po części bałtyckiej, skandynawskiej, turańskiej (Węgry) czy greckiej byłby samodzielnym graczem i partnerem do rozmów i działania dla sił, które lada chwila staną się kulturowo i cywilizacyjnie niezależne od waszyngtońskiego dyktatu. Nie musimy ciągle szlusować do postępectwa z zachodu, ani czuć strachu i presji ze strony Rosji. Możemy w rodzącym się świecie wielobiegunowym postarać się o własną tożsamość. Projekt Międzymorza z przyczyn oczywistych geopolitycznie bez Polski nie jest możliwy. Fakt, że Polska tak mocno swoje siły polityczne, zwłaszcza polityki międzynarodowej, zaprzedała atlantyzmowi napawa smutkiem, jednak przypominam: jest alternatywa! To alternatywa wymagająca rewolucyjnego podejścia do obowiązujących norm politycznych, to alternatywa wymagająca całościowego przebudowania stosunków politycznych i kulturowych, jednak w długiej perspektywie alternatywa ta stanowi lepsze wyjście niż obecne ślepe trwanie przy świecie zachodniego liberalizmu i kapitalizmu.

Spengler wspomniał ongiś o żołnierzu rzymskim, który zginął w Pompejach, bo ktoś zapomniał w zawierusze wysłać mu rozkaz pozwalający zejść z warty. I tak dumny Rzymianin miał pokazać „co znaczy

być rasowym”. Sądzę, że obecnie Polska pełni właśnie rolę w Pompejach liberalizmu, które powoli płoną i niszczą, i nie ma dla nich ratunku. Jednak nie uważam byśmy mieli obowiązek trwać do końca. Nasz obowiązek to powinność wobec tożsamości i tradycji wschodniej Europy. Najwyższa pora byśmy szukanie sposobu jak najlepiej się przypodobać liberalom z zachodu zamienili na budowę własnej jakości i wielkiej przestrzeni. Tą przestrzenią będzie Międzymorze.

Grzegorz Ćwik

Monika Dębek - Nacjonalizm a hedonizm i konsumpcjonizm



Jak wszyscy wiemy, nacjonalizm to przekonanie, że naród jest najwyższą wartością i najważniejszą formą społecznienia. To nic innego jak czynna miłość do swojego narodu. Hedonizm jest poglądem uznającym przyjemność, różnego rodzaju rozkosze za najwyższe dobro oraz motyw ludzkiego postępowania. Konsumpcjonizm zaś jest postawą, która polega na nieusprawiedliwionym i niezasadnym zdobywaniu dóbr materialnych i usług. Konsumpcja uznawana jest za najwyższe dobro. Hedonizm i konsumpcjonizm łączą się ze sobą bardzo mocno, gdyż robienie zakupów często wielu ludziom sprawia wielką przyjemność. Niektóre osoby tylko czekają na moment, gdy będą mieć pieniądze lub okazję, aby znowu wybrać się do sklepów czy centrów handlowych kupując rzeczy, które często nie są im wcale potrzebne. Jednak z posiadaniem danego przedmiotu wiąże się dodatkowa przyjemność. Często sam moment kupowania jest związany z wielką radością. Ludzie uzależniają się od kupna nowych nabytków, to sprawia im przyjemność i staje się najwyższą

wartością i motywem działania. Osoba, która dąży do przyjemności i skupia się na ciągłym, bezcelowym kupowaniu żyje tak naprawdę pod ciągłą presją. Czuje się nieprzerwanie niezaspokojona, w pewnym momencie różne rzeczy przestają sprawiać przyjemność i szuka nowych źródeł do czerpania rozkoszy. Konsumpcjonizm i hedonizm są związane nierozdzielnie z egoizmem i skupieniem na własnej osobie. Dążenie do przyjemności może mieć często związek z krzywdą i cierpieniem drugiego człowieka. Jednostkę jednak przestaje obchodzić los drugiego człowieka i myśli tylko do zaspokajania swoich chorych potrzeb. Nacjonalizm to praca na rzecz dobra swojej ojczyzny i drugiego człowieka. Cechuje go niezwykle altruizm i praca, za którą nie da się zapłacić. Nacjonalista nigdy nie był, nie jest i nie będzie człowiekiem, który będzie dążyć do czerpania ciągłej przyjemności. Nie jest skupiony także na ciągłym i nieprzerwanym gromadzeniu nowych rzeczy. Nacjonalista to osoba, której życie często nie jest usłane różami, związane z cierpieniem. Za swoje poglądy, idee płaci często utratą pracy, znajomości, samotnością w swoim środowisku lokalnym. Zostaje sam przeciwko wszystkim, cena idei jest bardzo wysoka. Nacjonalista to człowiek, który nie skupia się na rzeczach materialnych czy tym, co oferuje dzisiejszy zepsuty świat. Dla niego najważniejsze jest życie duchowe, czy wartości takie jak zdrowie, rodzina, przyjaźń, honor itd. Narodowiec nigdy nie da się opętać nałogowi zakupów, czy nie zgubi go dążenie do przyjemności. Patrzy na dobro drugiego człowieka, nigdy nie będzie działać kosztem drugiej osoby. Nie będzie sprawiać nikomu cierpienia. Kieruje się miłością do istoty ludzkiej, pracą na jej rzecz, podejmuje wolontariat w różnych instytucjach. Nacjonalizm całkowicie przeciwstawia się konsumpcjonizmowi i hedonizmowi. Nie pozwoli porwać człowieka dzisiejszemu światu. Prowadzi do tego, co najlepsze – życia w szczęśliwym narodzie, pełnym miłości, a nie do wiecznej ciemności.

Monika Dębek

Adrianna Gąsiorek - Końcówka października okiem nacjonalistki



Rok 2020 rzeczywiście będzie na tyle burzliwy, że pewnie dość dobrze zapamięta go każdy z nas. Mimo że jesteśmy w środku pandemii, a rząd szykuje nam kolejne spowolnienie gospodarcze, przy dość absurdalnych obostrzeniach, to na ulicach pojawiły się również grupy protestujące. Sama jestem ciekawa, co jeszcze do grudnia może nas spotkać.

Skupię się przede wszystkim na ostatnich dniach, ponieważ według mnie temat jest znacznie szerszy niż tylko strajk kobiet z błyskawicami na twarzach. Zostawię już w spokoju rolników i 5 dla zwierząt tym bardziej że nie raz wypowiadałam się w kwestiach prozwierzęcych i zdania nie zmieniam. Chociaż sama sytuacja, kiedy oba protesty spotkały się na polskich ulicach w jednym miejscu, była dość ciekawa. W końcu hasło "kobiety na traktory" mogłoby mieć inny wydźwięk. Nie wiem tylko, czy panowie z Agrouni zdają sobie sprawę, że popierają w większości osoby,

które chętnie by się ich całkiem pozbyły. Kwestie protestów tzw. antycovidowców chyba mamy już za sobą - przynajmniej taką mam nadzieję.

Zacznę od tego, że kumulowanie wszystkiego w jednym czasie, według mnie nie jest przypadkiem. Nie wiem, jaki jest cel jaśnie oświeconego karła z wiejskiej, ale widocznie chęć wojny domowej stała się dla niego dobrym rozwiązaniem. Rolników było niewiele jak na ogólnopolski strajk, o antycovidowcach nie wspomnę. Temat, który zawsze budzi ogromne zainteresowanie to właśnie aborcja. "Wystrzelenie" z nim właśnie teraz, było strzałem w dziesiątkę, aby rozbudzić nastroje (i tak wkurzonych) ludzi. Obecnie widzimy ciekawe zjawisko, w którym do kobiet z czarnych protestów zaczynają dołączać wymienione wyżej grupy. Wiele tzw. celebrytek również zabiera głos, mając niestety olbrzymi wpływ na współczesnych nastolactów. Protest wydaje się czymś modnym, atrakcyjnym. Jeśli do tego dodamy rzesze młodych ludzi, chcących po prostu odreagować po zdalnej nauce, to możemy liczyć, że będzie się działo. Jaki jest w tym cel i co jeszcze jest planowane, na pewno dowiemy się w najbliższym czasie.

W takiej mieszance mamy naprawdę wielu ludzi, którzy zaczynają protestować z różnych powodów. Jako kobieta staram się również zrozumieć, co kieruje tymi protestującymi, którzy do tej pory nie wychodzili na ulicę. Jestem zdania, że należy oddzielić aferzystów, czy lewicowe przedstawicielki cywilizacji śmierci od kobiet, które pojawiły się tam po raz pierwszy, nie biorąc wcześniej udziału w czarnych marszach. Widzę wśród nich moje licealne koleżanki, które często są osobami wierzącymi. Wiem, że są manipulowane i po prostu okłamywane. Trzeba być naprawdę ohydny człowiekiem, żeby wmówić głównie nastolatkom, że oczekuje się od nich noszenia przez 9 miesięcy martwego dziecka...że ktoś ryzykuje ich życiem. Żadna osoba ze środowiska prolife nigdy by na to nie wpadała, takie bzdury może wymyślić tylko lewa strona, żeby się

swoją propagandę i dążyć do wolności aborcyjnej. Natomiast podczas różnych rozmów, wiem, czego wiele z tych kobiet się obawia i ciężko się z nimi nie zgodzić.

Niestety wiele osób woli wypowiadać się tylko na temat aborcji czy ciąży. Ci sami ludzie w wielu przypadkach (generalizując świadomie), nie są już zainteresowani sytuacją rodziny czy kobiety, kiedy dziecko jest na świecie. Jeśli wszystko jest, jak należy, nie ma to większego znaczenia. W momencie, w którym kobieta zostaje sama i nie ma żadnego wsparcia, pojawia się problem. Nie wspominając już o tym, kiedy dziecko jest niepełnosprawne. Jestem przekonana, że wiele kobiet nie bałoby się o swoją sytuację, gdyby wiedziało, że dostaną należyłą opiekę psychologiczną, prawną, finansową - dla siebie i dziecka. Niestety temat dofinansowania dla dzieci niepełnosprawnych nie jest kwestią, która rządzących szczególnie interesuje. Uważam także, że zaangażowanie wszystkich obrońców życia powinno również iść w tę stronę. Jako środowisko nacjonalistyczne organizujemy często różnego rodzaju zbiórki. Jednak bez konkretnych prawnych rozwiązań ze strony państwa, nie można mówić o całościowym wsparciu. Musimy zarówno głosić prawdę na temat aborcji, ale także robić wszystko, by postawa pro-life dotyczyła całego tego pojęcia i była znacznie szersza.

Piszę o tym, ponieważ staram się oddzielić tego typu osoby od bandy, która chodzi tam w zupełnie innym celu. Po co? Żebyście się zastanowili nad tym, co dzieje się obecnie w przestrzeni publicznej czy w Internecie. Chamstwo, jakie wylewa się pod adresem wszystkich kobiet, głupawe dowcipy i seksistowskie uwagi są odrażające. Wielu odpuściło dobry smak, kulturę i szacunek względem kobiet. I chociaż widząc zachowanie osób na strajku kobiet - wyzwiska i demoniczne okrzyki sama jestem wkurzona, że z kobiecości robi się takie szambo. Miejcie jednak na uwadze, że wiele z nas, stoi z Wami pod kościołami i broni naszych wartości. Wiele z nas działa z Wami w organizacjach. Zastanówcie się, co robicie. Także na tych

marszach jest wiele zagubionych dziewczyn, których obrażanie będzie działało na niekorzyść nas wszystkich. Takim zachowaniem oddajemy je w ręce strajkujących. Warto się nad zastanowić.

Innym zagadnieniem jest cała rzesza ludzi, którzy wyszli na polskie ulice, aby niszczyć polskie i katolickie symbole. Na to nie może być naszej zgody, nasz opór musi być jednoznaczny i konkretny. I nie chodzi tutaj, jak wielu nam zarzuca, że bronimy kościoła, który sobie nie radzi, który nas nie chce. Nie bronimy konkretnych księży, którzy chowają się przed odpowiedzialnością za różne przewinienia. Bronimy wartości, bronimy tego, co do tej pory było święte. Mam wrażenie, że przyszedł czas, w którym ludzi bezpoglądowych będzie garstka. Obecnie widać, że trzeba się opowiedzieć po którejś ze stron. Co za tym idzie? Piszą do mnie znajomi ateści, agnostycy czy rodzimowiercy - piszą, że staną z nami. Na naszych oczach dochodzi do profanacji i niszczenia wszystkiego, co dla Polaków jest ważne. Kościoły, pomniki polskich bohaterów. To nie jest już strajk kobiet, to wojna przeciwko wartościom, do której zaangażowano masy ludzi. I my również musimy się grupować i bronić tego, co dla nas istotne. Jako ONR powołaliśmy Brygady Narodowe, które już budzą zainteresowanie. Jesteśmy na ulicach wielu miast, tworząc patrole, których zadaniem jest ochrona wiernych oraz budynków sakralnych. To jest moment, kiedy Katolicy nie tylko biorą do ręki różaniec, chociaż to bardzo ważne, ale również muszą wyjść, odrzucić bierność i stanąć do obrony wiary.

Resumując, uważam, że obecne wydarzenia są bardzo złożone i ciężko jednoznacznie je oceniać. Musimy uważać, żeby nie dać się wykorzystać w gierkach rządzących, ale cokolwiek będzie się działo, naszym obowiązkiem jest stanąć do obrony naszych wartości. Organizujcie się, chodźcie w okolice ważnych miejsc w Waszych miastach i stańcie na wysokości zadania.

Adrianna Gąsiorek

Witomysł Myduj - Zasmucona Mokosz



Zasmucona Mokosz

„Mit wyłowienia stanowi mit totalny: nie tylko opowiada o stworzeniu świata, lecz również wyjaśnia pochodzenie śmierci i Zła”.

Eliade, Historia wierzeń i idei religijnych, t. III

Prawdopodobnie nigdy dotąd w historii współczesnej Polski kobiecość nie została wystawiona na tak trudną próbę. W ocenie sytuacji z ostatnich dni raczej odżegnywałbym się od generalizowania i próby zamknięcia wszystkich uczestniczek strajków kobiet w jakies pejoratywne ramy, co jest charakterystyczne niestety dla znacznej części środowiska. Jako nacjonalista przywiązany do indoeuropejskiej spuścizny nie uważam, że należy bronić (prze)życia za wszelką cenę. Powiem więcej, przyznaję, że zaraz po wydaniu wyroku TK wydawało mi się, że w tym konflikcie należy wykreować „trzeci drogowy” głos ruchu nacjonalistycznego i akcentować własną narrację, nie wdając się w skrajnie spolaryzowany konflikt. Jednak okazało się to dość naiwne, ponieważ już przy pierwszych podrygach protestów szambo rozlało się z taką siłą, że nie sposób było się temu biernie przyglądać. Każdy z nas na pewno dostrzegł wielu znajomych,

dotychczas bardzo biernych w sprawach społecznych, o umiarkowanych poglądach, którzy masowo, podkreśleni covidową nudą i bezczynnością, ruszyli protestować. Nie można wiele wymagać od bezkształtnej masy, ale trudno było się spodziewać, że aż tak ochoczo podejmą estetykę, totalność oraz poziom wulgarności zaserwowany im przez wynaturzone, skrajnie feministyczne i lewicowo-liberalne organizacje stojące na czele wielkomiejskich hucp. Nagle nachalnie promowana odpowiedzialność związana z epidemią przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie, a dotychczas popularne hasła o wszechmiłości i tolerancji (stanowiące poniekąd pierwiastek żeński natury człowieka) okazały się jedynie maską, spod której eksplodowała skryta nienawiść, pogarda i agresja. Co prawda nie da się ukryć, że to, bądź co bądź, zwyczajne i nieuniknione ludzkie emocje. Jednak z uwagi na niską średnią wieku uczestniczek, które raczej powinny się zajmować problemem dzielenia przez zero niż aborcji, budziło to, pomijając oczywiste zażenowanie, smutek oraz troskę o kondycję następnego pokolenia młodych dorosłych. To przecież od nich będzie zależała przyszłość naszego kraju. Stąd też chciałbym dzisiaj opisać stojący na antypodach powyższych wzorców archetyp żeńskiej Bogini Mokosz, która z pewnością z przygnębieniem obserwuje zastany porządek.

Na początku pragnę wszakże przywołać obiecany w poprzednim artykule motyw słowiańskiej kosmogonii i mitu antropogenicznego. Niestety jest to mocno wybrakowany element wiedzy o Rodzimej Wierze. Rozpocząć rozważania można luźno od słowiańskiej bajki ludowej, w której to smoki wodne porywają kobiety, aby je pożreć, natomiast ogniści (dualizm żywiołów) wijowie ratują je i wchodzi z nimi w stosunek, z którego rodzą się silni i mądrzy „synowie słońca”, solarni herosi. Idąc dalej, wiemy że wśród mitologii europejskich politeizmów często pojawiał się wątek *axis mundi* (z łac. oś świata) przedstawiany niekiedy jako Drzewo Życia, które istniało przed stworzeniem świata, by następnie stać się jego centrum. W naszym uwarunkowanie geograficznym utożsamiany był on czasem ze znajdującym się na Słowenii szczytem *Triglav*. Tymczasem w micie z Karpat Wschodnich na drzewie tym zasiadały dwa gołębie (dualizm płci?),

które wylawiały z wodnych głębin piasek i kamienie, z których powstały kolejno poszczególne elementy Świata. Natomiast w rosyjskiej wersji tego podania to zasiadająca na drzewie orlica zradza 3 jaja, które mogą być analogią do trójpodziału Świata na Jawię, Prawię i Nawię. Podsumowując, w odróżnieniu od semickich religii w przytoczonych wyżej przypadkach mamy wyraźnie zarysowane wyobrażenia zrodzenia rozmaitych elementów Świata przy równoważnym współuczestnictwie pierwiastka kobiecego.

Wracając jednak do tematu bogini Mokosz, warto najpierw byłoby pochylić się nad etymologią jej imienia. Z jednej strony przywoływany jest w literaturze związek z staroindyjskim „makha”, co oznacza „szlachetny, bogaty”, a z drugiej konotacja ze słowiańskim rdzeniem „mok-”, oznaczającym „moczyć, mokry”. Tak jak wspomniana w moim poprzednim tekście Tiamat, tak i Mokosz jest kojarzona z płodną wilgocią jako bóstwo akwatycko-telluryczne w opozycji do męskich uranicznych, czyli władających niebiosami Bogów jak np. orający ziemię piorunami Perun. W słowiańskim przypadku Mokosz ukazana jest nam jako urodzajna Matka Ziemia, która przedstawia stronę bierną w tworzeniu świata zapładnianą metaforycznie przez twórczą moc niebiańskich Bogów lub w innym kontekście jako plenna bruzda orna przetwarzana przez społeczeństwo rolnicze. Z szacunku dla Ziemi wśród plemion słowiańskich kultywowane były rozmaite zwyczaje. Przykładowo kładziono na ziemi zarówno nowonarodzone dziecko jak i konającą osobę, co ukazuje nierozzerwalność początku i końca życia z glebą. Co więcej, pojawiały się również pewne obostrzenia związane z szacunkiem dla ziemi co ukazuje poleski mit, który zakazywał w obrodzoną trawą i plonami, wiosenną glebę wbijać kołków czy ogrodzeń kojarzone jako symbol stosunku. Ponadto przed orką lub siewem symbolicznie całowano grunt. W słowiańskim folklorze występował również obyczaj zakopywania w ziemi resztek jedzenia, co miało zwiększyć urodzaj. Mokosz dla Słowian była obrończynią kobiet, doglądała ich prac takich jak skubanie i strzyżenie owiec (stąd też składano w ofierze dla niej wyroby wełniane), hodowla lnu i przędzenia. Sporadycznie przypisywano

jej cechy mrocznego, erotycznego, raczej demona niż bóstwa, związanego z praktyką masturbacji, jednak rzetelni badacze wykazują, że to była to osobna kreacja, niezależna od Bogini Mokosz. W wyobrażeniach naszych przodków Mokosz wiązana była często z atrybutem rogu do picia stanowiącego symbol płodności lub kołowrotku do przędzenia.

Reasumując, w dobie kryzysu żeńskich autorytetów, których nie zastąpią nigdy influencerki z instagrama, wypadało silnie zaakcentować prawzór kobiety-matki-bogini. Rola kobiet w społeczeństwie jest niezastąpiona i należy jej się wielki szacunek, na który natomiast nie mogą liczyć wyzute z kobiecości, zradykalizowane osobniki pod sztandarem „wypierdalać”. Nie ma wolności bez odpowiedzialności!

Witomysł Myduj

Bibliografia:

1. Brücker „Mitologia słowiańska i polska”
2. Gieysztor „Mitologia Słowian”
3. Strzelczyk „Religia Słowian”

Grafika: <https://www.deviantart.com/hello-heydi/art/Mokosz-Heydrich-sadness-of-Goddess-309163426>

Jarosław Ostrogńiew - Julki, karyny i średniacy. Kilka uwag o strajku kobiet



Gdy człowiek wykonuje jakieś większe i wymagające zadanie, często odczuwa pokusę, żeby zająć się czymś innym. Nie mam tutaj na myśli prostego oderwania się od pracy dla drobnych przyjemności (typu przerwa w malowaniu domu, żeby pograć w grę), ale oderwanie się od głównego i ambitnego zadania, dla mniejszego i świeżego, które zdaje się w tym momencie ciekawsze i szybciej przynoszące jakieś efekty (typu pisanie krótkich opowiadań z innego uniwersum zamiast dokończenie kolejnego tomu sagi fantasy). Jako nacjonałści pracujemy nad takim wielkim zadaniem – jest nim całkowita zmiana hegemonii ideowej w Europie i w konsekwencji doprowadzenie do totalnej zmiany politycznej. Jednak przy tym zadaniu od czasu do czasu pojawiają się rozpraszacze – najczęściej jest to pokusa włączenia się w jakieś nowe medialne wydarzenie, którym rzekomo żyje całe społeczeństwo.

Takim bieżącym rozpraszaczem jest ruchawka związana z orzeczeniem

Trybunału Konstytucyjnego dotyczącym aborcji i protestami czy strajkami kobiet. W tym krótkim i pisanym na gorąco tekście postaram się udowodnić, że nacjonaści mogą więcej zyskać, nie włączając się w tę dyskusję po żadnej ze stron (albo jeszcze lepiej – włączając się w nią na swoich zasadach). Uważam też, że w kwestii aborcji niezbędna jest zmiana paradygmatu – zatem nie mówienie „tak” albo „nie” w którejś z pobocznych kwestii, ale całkowita zmiana ujęcia tego problemu. Jednak taka całkowita zmiana myślenia o aborcji i wypracowanie nacjonalistycznej perspektywy postrzegania tego problemu etycznego wymaga dyskusji całego środowiska, zatem poświęcę mu całkowicie odrębny tekst.

Kto i dlaczego bierze udział w protestach?

Oglądając media publiczne (czyli rządowe) i media „niezależne” (finansowane ze spółek skarbu państwa), można dojść do wniosku, że przez Polskę maszeruje niezliczona horda agresywnych lewaków, która podpala kościoły, a w dymie dostrzec można twarz samego szatana. Z kolei oglądając media prywatne (czyli opozycyjne) i media „niezależne” (finansowane przez sorosowe fundacje), można dojść do wniosku, że przez Polskę maszerują wszystkie kobiety niezależnie od wieku i wykształcenia, które zaraz obalą rząd i w końcu zimmanentyzują tęczy eschaton. Jestem przekonany, że obie narracje są fałszywe. W środę (28.10) w dzień ogłoszenia generalnego strajku kobiet, wieczorem przypadkiem trafiłem na demonstrację w centrum Wrocławia. Całe centrum było zablokowane, więc mogłem w spokoju i z bliska przyjrzeć się uczestnikom protestu, a potem jechałem z nimi dość długo autobusem, przysłuchiwałem się rozmowom, czy nawet brałem w nich udział. Sprawilo to, że dość mocno zmieniłem zdanie na temat tego strajku.

Zacznijmy od tego, że cały marsz z bliska robił wrażenie o wiele mniejsze niż w mediach. Zaznaczam, że trafiłem na niego dość późno, już pod sam koniec. Z reakcji uczestników wynika, że na samym początku nastąpiła

kulminacja, panował piknikowy nastrój, ale z każdą kolejną godziną coraz więcej ludzi rozchodziło się do domów. Ta część demonstracji, którą widziałem, była najbardziej rachityczną ze wszystkich dużych wydarzeń, w których brałem udział lub którym się przyglądałem, takich jak marsz niepodległości, marsz przeciw ACTA, spędy KODu, czy czuwania ze świeczkami w obronie Trybunału Konstytucyjnego. Sam pochód ciągnął się niemożebnie długo, ale wynikało to z tego, że był bardzo wąski – uczestnicy szli dwójkami i trójkami, pomiędzy kilkunastoosobowymi grupkami były przerwy na tyle duże, że spokojnie mógł przez nie przejść przypadkowy przechodzień, czy nawet przejechać samochód.

Kto brał udział w tym pochodzie? W mediach najbardziej widoczni są rowrzeszczani aktywiści czy zamaskowani zadymiarze, ewentualnie jakieś widowiskowe postacie, typu starsi ludzie na wózkach inwalidzkich. Jednak w rzeczywistości były to julki z przybocznymi oskarkami, którzy niestrudzenie simpowali swoje alternatywne koleżanki. Memy nie kłamią – rzeczywiście jest to w pierwszej kolejności rozrywka bananowej młodzieży z deweloperskich osiedli i kredytowanych domów pod miastem. Drugą największą grupę stanowili – co bardzo mnie zaskoczyło karyny i sebixy – zatem również zagubiona i znudzona młodzież, ale tym razem z blokowisk i kamienic. Trzecią grupę stanowili średniacy: klasa średnia w średnim wieku, zamująca średnie szczeble w korporacyjnej hierarchii, ze średnim kredytem i średnią ilością dzieci (czyli półtora na parę). Ci ostatni wykruszyli się najszybciej, bo jednak rano trzeba wstać do pracy, już się nachodziłem, mam, ja chcę siku, mam, chodźmy do macdonalda, sprawdźmy co nowego na netflixie itd.

Z rozmów z uczestnikami wnioskuję, że generalnie nie o aborcję w tym wszystkim chodzi – albo nie tylko o aborcję, tak jak w marszach przeciwko ACTA nie chodziło tylko o ACTA, czy w marszach niepodległości nie chodziło tylko o świętowanie rocznicy. Bądźmy szczerzy, sytuacja w Polsce jest obecnie nieciekawa. Mieliśmy jeden lockdown, czeka nas kolejny, jest coraz więcej zachorowań, daje się już odczuć pierwsze ekonomiczne skutki

lockdownu, rząd ewidentnie nie przygotował się do kolejnej fali pandemii, zamknięto bary i siłownie, nie bardzo jest co robić w weekend, a cała sytuacja przeciąga się w nieskończoność – ludzie są zmęczeni, a także znudzeni. Frustracja związana z całą sytuacją wybuchła pod pierwszym możliwym pretekstem, którym akurat było orzeczenie trybunału. Cała sprawa ma też aspekt ludyczny – jest to jedyne masowe wydarzenie, w którym ludzie mogą wziąć udział od dłuższego czasu i prawdopodobnie ostatnie aż do wiosny.

W przypadku julek i karyn, oskarków i sebixów głównym czynnikiem jest nastoletnie rozczarowanie światem, brak zaufania do rządzących – zresztą standardowe i słuszne, takie samo jak rozczarowanie młodych 10 lat temu, którzy chodzili na marsze przeciw ACTA czy marsze niepodległości i którzy ostatecznie skończyli po obydwu stronach politycznej barykady (czy najczęściej – po żadnej). Dodajmy do tego brak jakiegokolwiek innej możliwej rozrywki, brak wydarzeń towarzyskich, zdalne nauczanie, niemożność wyjścia w weekend na tańce w klubie – część osób pójdzie na taki marsz choćby z ciekawości, w przypadku zarówno oskarków jak i sebixów dochodzi również simpowanie do koleżanek.

Kolejną ciekawą grupą jest trzecia składowa strajku – średniacy. Od razu zaznaczę, że jest to wiekowo i zawodowo najbliższa mi grupa, z którą poza wiekiem, miejscem pracy i sytuacją zawodową dzieli mnie wszystko – zaczynając od wartości, przez zainteresowania, po sposoby spędzania czasu wolnego. Jednak to z tą grupą mam najwięcej do czynienia i najwięcej z nimi rozmawiałem również na temat tego strajku. Średniacy są jedną z najbardziej zabawnych grup w polskim społeczeństwie, ponieważ ich brak odwagi cywilnej jest równy jedynie ich przekonaniu o własnym nonkonformizmie, ich stereotypowość jest równa jedynie ich przekonaniu o własnej wyjątkowości, a bezsensowność ich pracy i życia jedynie ich przekonaniu o własnym znaczeniu. Średniacy lubią być niegrzeczni – ale w weekendy i bez konsekwencji. Nigdy nie zrobią nic, co mogłoby sprawić, że stracą pracę, ale z drugiej strony chcą jakoś pokazać swoje

niezadowolenie. Gdy okazało się, że ich pracodawcy dodają błyskawice do loga korporacji w mediach społecznościowych, a co więcej dają im wolne w dzień strajku – postanowili zaryzykować nic i pójść na demonstrację.

W przypadku średniaków również chodzi o ogólne niezadowolenie z sytuacji panującej obecnie w Polsce. Jednak wbrew pozorom ta grupa ma jednak jakieś rozeznanie w sytuacji społeczno-politycznej i jakieś poglądy. Większość z nich to oczywiście liberałowie albo lewicowcy (ale tacy fajni, korporacyjni lewicowcy, żadne 500+ dla biednej hołoty), którzy nie lubią obecnego rządu. I to właśnie w tej grupie kwestia aborcji rzeczywiście ma jakieś tam znaczenie. Jednak to ta grupa najszybciej odpadnie z tej inicjatywy. Znajome, z którymi rozmawiałem, oraz ich typowi polscy beta-mężowie, są przeciw orzeczeniu trybunału i za protestami, ale mocno zniesmaczyło ich samo prawdziwe oblicze protestu. Średniacy poszli na te marsze rodzinami, a tu feministki z dildosami krzyczą brzydkie słowa, na dodatek potem słyszą w mediach, że ktoś pobazgrał kościół, widzą stek wulgaryzmów wylewający się w mediach społecznościowych – to jest jednak trochę za dużo, lepiej być przeciw, ale następnym razem zostać w domu.

Co z wojującymi zawodowymi feministkami i antifą? Czyżby byli wykreowani przez jedne i drugie media? Oczywiście nie, są obecni na marszach i to naprawdę oni wymyślili i koordynują ten strajk. Ale większość uczestników naprawdę nie popiera ich postulatów i nie do końca rozumie, w czym biorą udział (albo mają na to wywalone). Lewacy mają niewielkie poparcie w polskim społeczeństwie i muszą się bardzo nagimnastykować, żeby jakoś utrzymać iluzję masowego poparcia ich haseł. I rzeczywiście – to radykałowie odpowiedzialni są za najbardziej odrażające hasła i akcje na strajku, z którymi wielu uczestników się nie utożsamia.

Strajk kobiet – czy lepiej stać z boku?

Patrząc na przekazy medialne, można by wnioskować, że sytuacja jest naprawdę napięta i wkrótce nastąpi przełom, po którym Polska nie będzie taka sama. Problem polega na tym, że media wszystkie kwestie relacjonują w ten sposób, rozdmuchując problem do niebotycznych rozmiarów. Obecny spór wokół aborcji jest jedną z takich rozdmuchanych medialnie pobocznych kwestii, której za rok jakoś szczególnie nie będzie się pamiętać. Rzeczywiście, sporo ludzi wyszło na ulice, pojawił się jakiś spór w dyskursie publicznym – ale to nie pierwszy i nie ostatni raz. Tak jak palenie świeczek przed sądami czy inne kodziarskie spędy nie obaliły rządu – tak samo nie obali ich strajk kobiet. Zresztą, popatrzmy na bliższą nam stronę dyskusji politycznej – ani marsze niepodległości, ani akcje kibiców, ani demonstracje przeciw ACTA nie obaliły rządu Platformy Obywatelskiej, mimo że wszystkie te wydarzenia oglądane na bieżąco, zwłaszcza w mediach, sprawiały wrażenie gigantycznego kryzysu politycznego. Owszem, były one zapowiedzią rosnącego niezadowolenia społeczeństwa i zwiastunem późniejszego upadku tamtego rządu. Tak samo obecne niezadowolenie społeczne może być zapowiedzią przyszłego upadku rządu Prawa i Sprawiedliwości – ale taka jest logika demokracji parlamentarnej, wahadło wyborcze chodzi to w jedną, to w drugą stronę.

Obecna sytuacja nie jest starciem jakichś sił Tradycji i anty-tradycji, czy dobra ze złem. Zastroturfowane julki i karyny pod przewodnictwem bogatej zawodowej działaczki z dobrego domu, która dzięki rodzinnym koneksjom dorobiła się na szwindlach w handlu kamienicami, chodzą i drą się na ulicy. Powrzucają zdjęcia na instagram, wrócą do domu i naprawdę tyle z tego zostanie, co z wielkiej rewolucji „najdroższego informatyka Rzeczypospolitej”
Mateusza Kijowskiego.

Pchanie się do ulicznych szarpanek z julkami i ich simpami, ustawki pod kościołami, czy tego typu akcje nie są dobrym pomysłem dla nacjonalistów z kilku powodów. Pierwszy jest taki, że naprawdę zajmujemy się ważniejszymi sprawami i pracowanie nad rozbudową i propagowaniem naszej idei jest ważniejsze niż takie pokrzykiwanie. Zacznijmy od tego, że

większość Polaków NIE bierze udziału w tych wydarzeniach – zdecydowana większość naszych rodaków jest zwolennikami utrzymania „kompromisu aborcyjnego” i ustawianie się po stronie zwolenników jego likwidacji (niezależnie w którą stronę) odpycha od nas potencjalnych zwolenników. Kolejny problem polega na tym, że konserwatyści – jak uczy nas doświadczenie – to niezłe szuje i mają zdecydowanie antynacjonalistyczne nastawienie. Przemoc policji, inwigilacja służb, czy publiczne piętnowanie będą skierowane przede wszystkim w stronę narodowych kontrmanifestantów, nie w stronę rozkrzyczanych julek. Można też być pewnym, że rządzący kolejny raz zadziałają po swojemu – zgłoszą nie wiadomo po co radykalny pomysł, ludzie poszumiają, po czym projekt trafi do zamrażarki sejmowej, albo nagle zniknie w odmętach kancelarii i wszystko wróci do poprzedniego stanu.

Ostatni problem polega na tym, że nie należy oczekiwać wdzięczności ze strony kościoła za jego obronę. Temat roli kościoła i stosunku nacjonalizmu do tej instytucji zasługuje na dłuższą dyskusję, ale mówiąc skrótowo – hierarchowie kościelni na pewno nie grzeszą ani głęboką wiarą, ani odwagą moralną. Biskupom naprawdę jest wygodnie tak, jak jest: powszechne sakramenty przy bardzo płytkiej wierze, ksiądz nie interesuje się wiernymi, a wierni księdzem, religia w szkołach, dotacje z Unii na zabytki, kapelani w armii – nie daj Boże, żeby ktoś zaczął od ludzi egzekwować przestrzeganie zasad wiary, jeszcze przestaną do kościoła chodzić. Jeżeli ktoś liczy, że kościół poprze nacjonalistów, bo będą bronić kościołów – nic takiego się nie stanie. Biskupi będą zawsze po stronie władzy i tak jak teraz dogadują się z konserwatystami, tak samo będą dogadywać się z liberałami, a gdy władze przejmą nacjonałiści, będą próbowali dogadać się z nacjonalistami.

Wnioski

praktyczne

Pchanie się w środek sztucznie rozkręconego przez media sporu o nic, stawanie po którejś ze stron, której nie popiera większość społeczeństwa –

to marnowanie energii i potencjału środowiska. Uważam, że nacjoniści powinni zaproponować coś całkowicie odmiennego – zmianę paradygmatu myślenia i mówienia o aborcji. Ten naprawdę poważny problem etyczny powinniśmy we własnym gronie przedyskutować i pokazać społeczeństwu, że jest coś takiego jak nacjonalistyczne stanowisko (albo stanowiska w tej sprawie), które z pewnością przemówią do wielu – zwłaszcza myślących – osób.

Chciałbym podkreślić jeszcze raz, że większość Polaków (i wielu nacjonalistów – zwłaszcza nie-katolików czy indyferentnych religijnie) jest zwolennikami kompromisu aborcyjnego. Zresztą nie ukrywam, że sam nie jestem katolikiem i uważam, że utrzymanie kompromisu jest obecnie najlepszym rozwiązaniem. Tym, czego naprawdę boi się zarówno rząd (a raczej rządzący rządem prezes) oraz zawodowe feministki, jest referendum w sprawie aborcji. Dlaczego? Ponieważ w referendum zdecydowana większość Polaków pokaże ogromny środkowy palec środowiskom próbującym przeciągnąć kompromis w jedną czy w drugą stronę. To właśnie z tego powodu na wzmiankę o referendum „przywódczyni” strajku reagują megafonem i werbalną agresją. Być może to powinno być hasło środowisk nacjonalistycznych – niech naród się wypowie. Na pewno taki postulat poparłaby większość społeczeństwa.

Na koniec przytoczę anegdotę: gdy demonstracja już przeszła i komunikacja miejska znów ruszyła, pojechałem autobusem do domu, razem z uczestnikami demonstracji. Do dwóch alternatywnych nastolatków przypadkiem dosiadł się ojciec jednej z nich, który właśnie wracał z pracy do domu. Ojciec jak to ojciec, próbował nawiązać jakiś kontakt śmieszkując po pseudo-młodzieżowemu, co wyszło raczej „krindżowo” (nie przypadkiem „suchar” po angielsku to „dad joke”). Z rozmowy wynikało, że sam nie popiera strajku, ale starał się być miły – mimo śmieszkowania – dopytywał córkę i koleżankę, jak właściwie wszystko wyglądało, jak zrobiły flagę z błyskawicą itd. Potem wyciągnął telefon i na głos czytał różne relacje z mediów i dyskutował o nich z dziewczynami. W

końcu zaczął czytać – oczywiście rozdmuchaną – relację o starciach fizycznych na demonstracji i pomimo maseczki widać było, że zrzędała mu mina. Pomimo negatywnego nastawienia do całej imprezy, po prostu martwił się o córkę i jej koleżankę, co do której pewnie ma nadzieję, że w końcu z tego wyrośnie. Jaki wniosek płynie z tej historyjki? Duża część demonstrantów to młode julki, które są po prostu sfrustrowane życiem w czasie pandemii. Antifę i lewicowych aktywistów należy zawsze i wszędzie zwalczać na wszystkie możliwe sposoby – natomiast wobec normików należy być cierpliwym, trzeba z nimi dyskutować i ich przekonywać, jakieś konfrontacje fizyczne z nimi są niepotrzebne.

Na sam koniec w punktach, konkretnie, moje wnioski i propozycje na teraz i na przyszłość:

1. Protesty są wydarzeniem rozdmuchanym przez media. To nie jest punkt zwrotny w dziejach Polski, nie nakręcajmy się nadmiernie. Strajki wkrótce się zakończą.
2. W protestach przede wszystkim biorą udział julki i oskarki, karyny i sebixy oraz średniaki – a więc różnej maści normiki, sfrustrowane obecną sytuacją w Polsce, aborcja jest tutaj na drugim, czy nawet trzecim miejscu.
3. Protesty nakręcają lewacy i feministki, aktywnie bierze w nich udział antifa. To oni są odpowiedzialni za wszystkie najgorsze hasła i najgorsze akcje. Nacjoniści mogą (i powinni) aktywnie zwalczać te grupy, na siłę odpowiadać siłą, natomiast konfrontacje z protestującymi normikami są złym pomysłem.
4. Nie przyklejajmy się do obozu rządowego. Ten rząd naprawdę nie radzi sobie z sytuacją i wkrótce popłynie (jak wszystkie rządy przed nim), a my dostaniemy wtedy rykoszetem, jeżeli ludzie będą za bardzo kojarzyć nas z nimi.
5. Z jednej strony rośnie frustracja sytuacją i zniechęcenie rządem, ale z drugiej ludzie zaczynają się nudzić i frustrować z powodów strajków i zablokowanych centrów miast. Wszystkie grupy i inicjatywy nacjonalistyczne powinny właśnie teraz wyjść do ludzi – pokazać się jako alternatywa zarówno wobec rządu jak i wobec leftów. Już teraz szykujemy

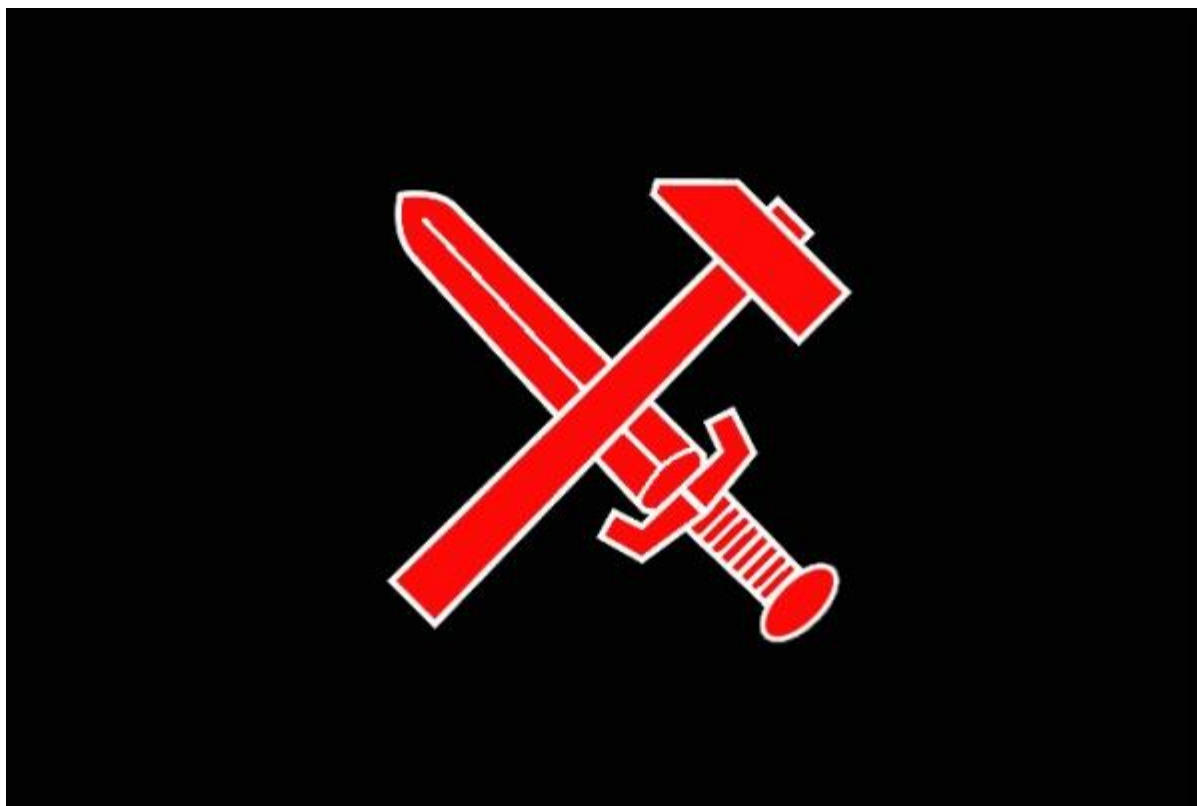
materiały promocyjne. Początek listopada będzie świetnym momentem na werbowanie nowych zainteresowanych (zwłaszcza wśród młodych), a 11 listopada świetną okazją na wciągnięcie nowych osób w lokalne akcje.

6. Większość Polaków popiera kompromis aborcyjny i jest negatywnie nastawiona do prób jego zmiany w jedną czy w drugą stronę. Nacjonałści (przynajmniej ci nie-katoliccy) mogą tutaj wystąpić jako głos zdrowego rozsądku.

7. Aborcja to poważny problem etyczny. Środowisko nacjonalistyczne powinno w najbliższym czasie przedyskutować tę kwestię i przedstawić nacjonalistyczną perspektywę aborcji.

Jarosław Ostrogniew

Michał Ostrzycki - Solidaryzm, nacjonalizm, strasseryzm



Artykuł ten początkowo miał być tekstem w całości poświęconym ideologii strasseryzmu, krótkim opowiedzeniem jej historii, omówieniem jej założeń, zwieńczonym subiektywną oceną co do jej całokształtu. Jednakże strasseryzm to ideologia nacjonalistyczna. A ja w trakcie jego pisania zdałem sobie sprawę z tego, iż w momencie, gdy to robię, w polskim środowisku nacjonalistycznym rozmyte jest znaczenie pojęcia samego nacjonalizmu! W związku z tym wstęp pozwoliłem sobie zastrzec dla krótkiego wyjaśnienia podstawowych jej filarów, aby to móc płynnie przechodzić pomiędzy poszczególnymi zagadnieniami. Jest on jednak dedykowany w szczególności dla osób, które nie wywodzą się ze środowiska nacjonalistycznego, aby mogły one zrozumieć całość, bez konieczności doczytywania kluczowych dla tej tematyki terminów z innych źródeł.

Zacznijmy więc, od wydawać by się mogło banalnego, streszczenia samej idei nacjonalistycznej. Opiera się ona oczywiście na stawianiu przez człowieka, dobra swego narodu na pierwszym miejscu w hierarchii jego wartości życiowych. Co za tym idzie, w owej idei chodzi o priorytetowe dążenie do dobra dla wspólnoty (narodowej). Indywidualizm jednostki jest zatem w tej ideologii dopuszczalny do tego stopnia, do którego aktualnie będzie on przynosić największe korzyści dla społeczności narodowej. Jednakże sam indywidualizm czy wolność jednostki są tu tylko jednymi z wielu narzędzi, które mają służyć dążeniu do tego dobra.

Na tym etapie śmiało można już stwierdzić, że nacjonalizm to ideologia socjalna, gdyż stawiająca na pierwszym miejscu społeczeństwo, będąca gotowa poświęcić wolność jednostki, by uzyskać korzyści dla wspólnoty narodowej. Idąc dalej, jest ona jawnym zaprzeczeniem liberalizmu (stawiającemu na pierwszym miejscu wolność jednostki) czy też kapitalizmu (który to dąży do prywatyzacji gospodarczej). Co ciekawe, zabójcze dla narodów efekty niezwalczania dwóch powyższych ideologii zauważyć możemy niemalże wszędzie w dzisiejszej Europie. Rozmycie norm i obyczajów, negacja sztuki i kultury, zanik tożsamości i moralności, wszechobecny wyzysk i materializm, porzucenie wartości na rzecz pustej konsumpcji, redefinicja podstawowych pojęć takich jak miłość, rodzina, wolność, tolerancja i normalność. A jak dobrze wiemy, wymieniać można by jeszcze całkiem sporo patologii dotyczących nasze społeczeństwo. Przyczyny takiego stanu rzeczy są jednak widoczne jak na dłoni, są to liberalizm i kapitalizm. Wynaturzona priorytetyzacja wolności jednostki i nieludzkie dążenie do materialnego (wy)zysku za wszelką cenę.

Człowiek z natury jest istotą stadną, hierarchiczną i potrzebującą autorytetu, zarówno we własnej osobie jak i z zewnątrz. Z pierwszego faktu wynika sama potrzeba zachowania wspólnot narodowych. Z drugiego, konieczność zbudowania ścisłego porządku społecznego. Z trzeciego natomiast, wymóg stworzenia możliwości kierowania się autorytetem jak i możliwość jego przejęcia. Wszystkie te trzy cechy się zresztą ze sobą

idealnie uzupełniają. Nie ma bowiem autorytetu bez hierarchii ani hierarchii bez stada. Hierarchia i autorytet to pochodne samego istnienia jakiegokolwiek wspólnoty od przykładowego stada poczynając. Są to wartości, które pozwalają jej trwać, rozwijać się i funkcjonować na najwyższych obrotach.

Skoro wspólnoty narodowe muszą istnieć dla dobra ludzkości, to ludzie muszą o nie dbać. Jako nacjonałiści doskonale to rozumiemy stawiając ich dobro jako najwyższą wartość życiową. Aby jednak takowa wspólnota miała się dobrze, potrzebuje ona narzędzia administracyjnego. Tym narzędziem jest państwo. Dlatego też dążyć musimy do budowy silnego, jednolitego etnicznie i kulturowo państwa, które służyć będzie naszej wspólnocie. Socjalnego państwa ładu, prowadzącego stanowczą i solidarną ze swym narodem politykę, opartego na ścisłej hierarchii oraz autorytetach kierujących społeczeństwem.

To co dotychczas w tym tekście przedstawiłem jest uogólnieniem myśli nacjonalistycznej. Przejść zatem możemy do samego zagadnienia strasseryzmu. Nazwa tego nurtu ideologicznego wywodzi się od nazwiska jego założycieli, dwóch niemieckich nacjonalistów, braci Gregora i Ottona Strasserów.

Gregor Strasser urodził się w 1892 roku, jego brat Otto był natomiast o pięć lat od niego młodszy. Wywodzili się z katolickiej i konserwatywnej rodziny, która nieustannie miała problemy z utrzymaniem finansowym, nie ułatwiał tego fakt, iż w owe rodzeństwo liczyło sobie jeszcze dwóch braci Strasserów. W związku z tym, kiedy Gregor studiował farmację, jego rodziny nie było już stać na kontynuację edukacji, młodszego brata – Ottona. Ten zatem od najmłodszych lat zajął się pracą w fabryce. Kiedy jednak już miał podjąć dalszą naukę w roku 1914 nastąpił wybuch I wojny światowej, w której oboje z braci wzięli udział. Po jej zakończeniu wstąpili do niemieckich Freikorpsów. Podczas puczu Kappa-Lüttwitza stanęli po przeciwnych stronach konfliktu, Otto powołał socjalistyczną bojówkę a

Gregor dowodził oddziałami prawicowych puczystów. Po tych wydarzeniach ich drogi chwilowo się rozeszły. Otto rozwijał swe socjalistyczno-rewolucyjne poglądy, a Gregor niemalże natychmiastowo związał się z nazistami. Stał się liderem regionalnym SA (bojówki NSDAP), wziął udział w puczu monachijskim, a także szybko pisał się w górę hierarchii w partii, osiągając w niej coraz to wyższe stanowiska. W 1924 roku uzyskał mandat do Reichstagu, a w 1925 jego brat postanowił przyłączyć się do NSDAP. Wspólnie zajęli się publicystyką i działalnością propagandową.

Tworzyli niemalże trzon partii nazistowskiej, posiadając w niej bardzo szerokie i daleko idące wpływy, a także duże poparcie, również w szeregach SA. Cieszyli się poważaniem, wydawali opiniotwórcze teksty, kreowali program NSDAP. Skupiali się na promowaniu chrześcijańskiego przekazu narodowo-socjalistycznego. To wszystko sprawiło, że stali się w partii poważną konkurencją dla Adolfa Hitlera. Doprowadziło to do wielu tarć pomiędzy nimi oraz pomiędzy ich wiernymi zwolennikami. Kulminacją zdawał się być spór o kwestie programowe partii. Otto Strasser zarzucał Hitlerowi zdradę idei narodowo-socjalistycznej na rzecz sojuszu z kapitalistami i arystokracją, którzy to w zamian zaczęli finansować NSDAP, oddalenie się od wartości chrześcijańskich, prowadzenie narodu niemieckiego na wojnę, a także snucie i przywiązywanie uwagi do nedorzecznych teorii rasowych. Występował on przeciw mitom propagowanym przez popleczników Hitlera dotyczących rasy aryjskiej. Twierdził, że ludzie stanowią mieszaninę wielu ras, kształtowanych przez warunki kulturowe, geopolityczne, biologiczne oraz historyczne. Według niego, naród jest wspólnotą ludzi połączonych duchem, tradycją, kulturą i historią.

W wyniku tego konfliktu, który to przez lata tylko nabierał na sile i owocował niejednokrotnymi, fizycznymi starciami bojówek nazistowskich, Otto wraz ze swymi najbliższymi zwolennikami opuścił partię NSDAP w 1930 roku, publikując przy tym artykuł o tytule: „Die Sozialisten verlassen die

NSDAP” („Socjaliści opuszczają NSDAP”). Jego brat postanowił pozostać w partii, jednakże nadal promował w niej wypracowaną ideę narodowo-socjalną. Tymczasem Otto zaraz po odejściu założył własną - Kampfgemeinschaft Revolutionärer Nationalsozialisten (Związek Walki Rewolucyjnych Narodowych Socjalistów), która w późniejszym czasie zmieniła nazwę na „Czarny Front”. Symbolem frakcji strasserystów stały się skrzyżowane miecz i młot, symbolizujące jedność robotnika z żołnierzem. Wartym wspomnienia jest fakt, iż była to jedyna w tamtym czasie, antyhitlerowska niemiecka organizacja nacjonalistyczna. W jej ramach w dalszym ciągu zajmował się polityką i prowadził działalność publicystyczną.

Gregor opuścił NSDAP z powodów różnic światopoglądowych dopiero w grudniu 1932 roku. Podobnie jak jego brat kontynuował jednak dotychczasową działalność na własną rękę. W 1934 roku, w czasie nocy długich noży, został aresztowany i zamordowany na osobisty rozkaz Hitlera. Ottonowi udało się uniknąć podobnego losu dzięki wcześniejszym przeprowadzkom i emigracji z Rzeszy. Dalsze dzieje z życia Ottona, to tułaczka po świecie, w trakcie której nieustannie krytykował politykę Hitlera a także zajmował się propagowaniem własnej wizji narodowego socjalizmu. Ostatecznie udało mu się po wielu latach powrócić do ojczyzny, gdzie aż do śmierci kontynuował swą działalność ideową.

Na koniec warto krótko streścić najważniejsze postulaty strasseryzmu z tamtego okresu. Postulował on budowę państwa federalnego, dzięki czemu przybliżyłyby się do siebie wspólnoty lokalne, a władza trafiłaby w ręce ludu. Przemysł miałby zostać znacjonalizowany, a robotnicy zostaliby posiadaczami środków produkcji oraz udziałów w dochodach przedsiębiorstw, które ich zatrudniały, mieli mieć przy tym także wpływy decyzyjne na ich kierownictwo. Władzę w państwie dożywotnio sprawować miał prezydent, Wielka Rada (złożona z prezydentów prowincji, pięciu ministrów wybieranych przez prezydenta i przedstawicieli prezydium Izby

Samorządowej) i zarząd Izby Samorządowej (składający się z 110 członków, w tym 100 wybieranych i 10 mianowanych przez prezydenta)


Ta niemalże zapomniana i przemilczana historia braci Strasserów pokazuje, iż nawet w tak burzliwym dla Niemiec okresie, rozwijała się zdrowa, wierna ideałom i pozbawiona szowinizmu myśl nacjonalistyczna, która trwała w stanowczej opozycji do działań Hitlera. Udowadnia ona także, że prawdziwa myśl narodowo-socjalna nie ma nic wspólnego z wyssanymi z palca rasistowskimi teoriami. Można zatem stwierdzić, że to strasseryści byli prawdziwymi narodowymi-socjalistami. Aczkolwiek z wiadomych względów, pojęć tych nie ma już sensu rozgrzebywać i gmatwać ze sobą. Tym bardziej, że przecież dzięki temu, powstał odradzający się dziś nurt strasseryzmu, który jest dokładnie tą ideą, lecz pod wymuszenie zmienioną nazwą. Co więcej, ideologia ta, co prawda powstała w Niemczech, jednakże po wojnie zaczęła rozprzestrzeniać się po całej Europie, gdyż nacjonałiści z całego kontynentu zaczęli dostosowywać ją do bieżącej sytuacji swoich ojczyzn. O ile bowiem za życia Otto Strasser skupiał swą ideę faktycznie głównie na jego własnym narodzie, tak jest ona bardzo uniwersalna i w żaden sposób nie związana tylko i wyłącznie z nim. Zresztą, on sam zakładał nawet owe rozprzestrzenienie się strasseryzmu poza granice Niemiec, co jednak naturalne, starał się przeforsować swą myśl najpierw we własnym kraju.

Moja osobista ocena co do założeń tej ideologii jest bardzo pozytywna. Strasseryzm podkreśla to co według mnie najważniejsze w nacjonalizmie – solidarność. Zdaję sobie sprawę z tego, że w dniu, w którym piszę ten tekst, w Polsce nabiera na znaczeniu ruch „narodowo-liberalny”, którego zwolennicy miłujący kapitalizm i korwinowskie tezy, mogą dostać wręcz palpacji serca czytając o tym, że nacjonalizm jest ideą socjalną. Ale właśnie z tego powodu te słowa powinny wybrzmieć w środowisku jak najgłośniej. Jest ona wiecznie żywa, stale potrzebuje rozwoju oraz dostosowywania do bieżącej sytuacji. Zatem trwajmy przy niej, rozwijajmy ją i nie zapominajmy o jej fundamentach!

Michał Ostrzycki

[niniejszy tekst nie propaguje ustroju ideologii faszystowskiej lub nazistowskiej, oraz nie nawołuje do nienawiści na tle rasowym, etnicznym, narodowościowym, religijnym lub jakimkolwiek innym]

Maksymilian Ratajski - To jest wojna



**TO
JEST
WOJNA**

OGÓLNOPOLSKI STRAJK KOBIEC

Kiedy powiedziałem redaktorowi naczelnemu o czym zamierzam pisać, zapytał czy tytuł będzie brzmiał „To jest wojna”, co prawda miałem inny pomysł, ale jak wiadomo szefowi się nie odmawia. Tym bardziej, że naprawdę mamy do czynienia z wojną kulturową, która przybrała na sile od pierwszych czarnych protestów, a teraz mamy jej eskalację.

Pretekstem do rozpoczęcia „protestów kobiet” był wyrok Trybunału Konstytucyjnego, który orzekł, że aborcja eugeniczna jest niezgodna z ustawą zasadniczą (przypomnę tylko, że w momencie jej uchwalenia rządziło SLD, a prezydentem był wywodzący się z tej formacji Aleksander Kwaśniewski). Muszę przyznać, że nie wierzyłem w żadne zmiany na lepsze, jestem bardzo pozytywnie zaskoczony. Od dłuższego czasu byłem przekonany, że nie ma szansy na zaostrzenie ustawy aborcyjnej, sens działalności pro-life widząc w walce o utrzymanie obecnego „kompromisu”, który uważam za barbarzyński. Natomiast widząc brak woli politycznej do jakichkolwiek pozytywnych zmian, i widząc determinację drugiej strony, można było być pewnym, że od razu po wyborach zmienią tę ustawę. Platforma Obywatelska jest już znacznie mniej konserwatywna niż w czasach swoich rządów, a społeczeństwo się znacznie zliberalizowało.

Tutaj właśnie słowo do wszystkich, którzy uważali obowiązujący „kompromis” za słuszny, nie mam ochoty na setną dyskusję w tej sprawie, natomiast każdy musi mieć świadomość, że był on nie do obrony. Gdyby nie wyrok Trybunału, za trzy lata mielibyśmy aborcję na życzenie, taki byłby koszt koalicji PO z Lewicą, po utracie władzy przez PiS. Konstytucję znacznie trudniej zmienić niż ustawę.

Lewicowo-liberalne media, przy pomocy niezawodnych celebrytów, ukazały całą sprawę jako zamach na „prawa kobiet”, a organizowane przez lewaków protesty jako „strajk kobiet”, ciężko o większe kłamstwo. Jest to zadyma liberalnej lewicy, główną liderką jest zadeklarowana lesbijka Marta Lempart, to ona nawoływała do profanacji w kościołach. Obok niej

występują wszelkiej maści organizacje lewicowe i liberalne, a także anarchości. Wśród lokalnych organizatorów nie brak zawodowych gejów (poznńska Grupa Stonewall), nietrudno się domyślić, że ani Marty Lempart, ani par męsko-męskich, problem aborcji nie dotyczy. Podobnie jak słynnego Margota.

„Winę” za zapisy w Konstytucji Kwaśniewskiego miał oczywiście ponosić Kościół Katolicki, jak wiemy, narracja środowisk proaborcyjnych od dawna opiera się na tezie, że mordowanie dzieci to wybór, a sprzeciwiają się mu jedynie „nienawidzący kobiet biskupi”. Wedle mojej wiedzy sędziowie TK nie nazywają się Jędraszewski, Gądecki, Głódź, Hoser czy Mering, ale może czegoś nie doczytałem. Jednak niezależnie od składu Trybunału, wyrok nie mógł być inny, czasem warto posłuchać prof. Rzeplińskiego, niedawny autorytet „obrońców demokracji i Konstytucji”, zawsze ciekawie wypowiadał się w sprawach aborcji. Kolejnym argumentem, popularnym także na prawicy, jest ten o „zmuszaniu kobiet do heroizmu”, pozwolę sobie tutaj zacytować Tomasza Terlikowskiego (w życiu bym nie pomyślał, że to kiedykolwiek zrobię) - *„Życie jest pełne sytuacji trudnych, a uznawanie, że nie możemy od ludzi wymagać heroizmu, buduje społeczeństwo przeciętności, w których każde świństwo, zaniedbanie, porzucenie można usprawiedliwić tym, że od nikogo nie wolno wymagać heroizmu. Społeczeństwo, w którym heroizmu się nie wymaga, bardzo szybko traci jakikolwiek wymiar moralny.”*

Postulaty tego spędu również są ciekawe. Nie chodzi im oczywiście o obronę „kompromisu” (jego zwolenników można znaleźć głównie na prawicy), a o całkowitą legalizację aborcji, „śluby” dla tęczowych czy zniesienie klauzuli sumienia, żeby lekarze nie mogli odmówić zabicia dziecka, do tego oczywiście sporo haseł antykościelnych, bo doskonale zdają sobie sprawę z tego, że to Kościół jest największą przeszkodą na drodze do zamienienia polskiego społeczeństwa w bandę libertynów bez moralności.

Kłamstwem byłoby jednak stwierdzenie, że tak zwany „strajk kobiet”, jest wyłącznie spędem anarchistów i tęczowych, że idą w nim same „julki” na czele z Margotem. Jest to protest masowy, który skupia w dużej mierze tak zwanych „normików”, to oni także mu kibicują. Media wykreowały obraz zagrożonych praw i słusznej walki o nie (w czasach pandemii nawoływanie do protestów to narażania nas wszystkich!). Pod protest podłączyli się politycy i „politycy” typu TVN-owskiego celebryty, który do niedawna robił za naczelnego liberalnego „katolika”, teraz już nawet nie udaje. Wspomniany Szymon, znany z teatralnego płaczu przy czytaniu Konstytucji, zaraz po wyroku Trybunału, zaczął głosić, że „aborcja jest złą, ale każdy ma prawo do wyboru, bo każdy ma inne poglądy”. Swoją drogą ciekawy sposób myślenia. Podobnie jak argument, że „przecież kobiety w dalszym ciągu będą dokonywały aborcji nielegalnie”. Równie dobrze można w ten sposób mówić o kradzieży, pedofilii, czy morderstwie.

Najbardziej przerażająca jest skala poparcia dla tych protestów, w tym także wybielanie tego co działo się pod kościołami, pokazuje jak bardzo zmienił się nasz kraj w ciągu kilku ostatnich lat. Słuchając ludzi w pracy czy przeglądając media społecznościowe widzimy skalę. Widzimy ją też patrząc na wielotysięczne manifestacje w miastach, czy ich liczbę w mniejszych miejscowościach. To jest przerażające. Przeraża poziom wsparcia, bądź życzliwej neutralności przez osoby deklarujące się jako „wierzące”. Jeszcze kilka lat temu słyszeliśmy o Polsce jako „bastionie Europy”, dzisiaj błyskawicznie gonimy najbardziej zdegenerowane społeczeństwa Zachodu. Nie tylko pod względem aborcji, ale także „praw” tęczowych, multikulturalizmu czy podejścia do Religii, Rodziny i Tradycji.

Nieprzypadkowo kilkakrotnie wspomniałem Michała Sz. pseudonim „Margot”. Ów wątpliwej reputacji dżentelmen zasłynął latem tego roku, wieszając tęczowe szmaty na pomnikach i atakując furgonetki fundacji pro-life. To jak bardzo był broniony przez media, urastając do miana bohatera, pokazało, że liberalna lewica jest już gotowa do aktów profanacji,

akceptuje również przemoc. To wtedy można było zobaczyć, że media będą w takiej sytuacji po ich stronie (oczywiście ludzie broniący kościołów to „kipiący agresją bandyci”).

Trwające protesty pokazują potęgę mediów i tego w jaki sposób potrafią one kreować rzeczywistość. Główne media w Polsce, podobnie jak większość lokalnych stanęły jednoznacznie po stronie aborcjonistów, przedstawiając organizowane przez Martę Lempart spędy jako spontaniczną walkę polskich kobiet w obronie zabieranych im praw. Broniły nawet ataków na kościoły. Nikt nawet nie próbuje udawać obiektywnego dziennikarstwa, jest ono wyraźnie zaangażowane. Właśnie ukazanie tego jako protestów kobiet, jest największym kłamstwem, zarówno jeżeli chodzi o płeć uczestników manifestacji, jak i ich tło ideologiczne, które jest bardzo wyraźne, są to protesty liberalnej lewicy, która próbuje wykorzystać Polki do własnych celów, wmówić im, że chodzi o prawa kobiet (pewnie także tych nienarodzonych). Całkowicie dyskryminowane są tu kobiety o bardziej konserwatywnych poglądach (w Krytyce Politycznej pojawił się arcykomiczny tekst skierowany do „wyborczyń” Konfederacji, próbujący przekonać je, że aborcja to podstawowe prawo kobiet, które chce im odebrać Krzysztof Bosak). Widzimy jak ukazywane są wszelkie incydenty, usprawiedliwiana agresja protestujących, a w jakim świetle stawia się osoby broniące kościołów. Właśnie taki obraz sytuacji trafia do zwykłych Polaków, nic dziwnego, że karmieni nim widzowie i czytelnicy, wyrabiają sobie taki, a nie inny pogląd na całą sprawę. Tym bardziej, że w całą sprawę zaangażowały się tłumy tak zwanych „gwiazd”, a te jak wiadomo pełnią dzisiaj funkcję autorytetów, skoro Iksińska zagrała w jednym odcinku popularnego serialu, a na dodatek ma dwieście tysięcy followersów na instagramie, to na pewno jest właściwą osobą do wypowiedzania się na każdy temat. Jak bardzo by nas to nie śmieszyło, tak działają media pokroju popularnego portalu na O., który codziennie przeglądają miliony ludzi w Polsce.

Kilka miesięcy temu polecałem na łamach Szturmu Obóz świętych Jeana Raspaila, francuski pisarz doskonale ukazał mechanizmy oddziaływania

mediów na społeczeństwo, naprawdę warto sobie tę książkę teraz odświeżyć. Historię piszą zwycięzcy, ale teraźniejszość kształtują media. To one są potęgą.

Jednym z najsłynniejszych wierszy Zbigniewa Herberta jest Potęga smaku, znana głównie dzięki wykonaniu Przemysława Gintrowskiego. Skojarzyła mi się z ostatnimi wydarzeniami, ze względu na skrajny prymitywizm protestujących „julek”. Mam wrażenie, że nie znają innych słów niż „jebać” i „wypierdalać”, dla człowieka mającego choćby podstawowe poczucie estetyki, jest to skrajnie obrzydliwe. Doskonale rozumiem, że manifestacje to nie Wersal, ale polska wersja Black Lives Matter to ekstremalny przypadek rynsztoka.

*To wcale nie wymagało wielkiego charakteru
mieliśmy odrobinę niezbędnej odwagi
lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku
Tak smaku
który każe wyjść skrzywić się wycedzić szyderstwo*

Właśnie zjawisko „julek” powinno martwić nas najbardziej. Oto pokolenie dzisiejszych 15-20-latków idzie w kierunku wyjątkowo chamskiej i prymitywnej libertyńskiej lewicy. Patrząc na ilość dzieci i młodzieży zaangażowanych w protesty hasła jakie wnoszą, ich historyczne zachowanie czarno widzę przyszłość. Oczywiście to zjawisko nie zaczęło się tydzień temu, jest to efekt wieloletniego działania mediów, celebrytów, seriali na netflixie. To właśnie tego typu osoby stanowią fanklub Margota. Są to dzieci czarnego protestu sprzed kilku lat, w który zaangażowane były ich mamy i siostry. To czarny protest doprowadził do radykalnej liberalizacji i laicyzacji młodego pokolenia Polaków, zwłaszcza w dużych miastach. Dzisiaj zbieramy owoce bierności wobec niego.

Kolejnym smutnym zjawiskiem jest zaangażowanie władz samorządowych i uniwersyteckich. O ile Rafał Trzaskowski i Jacek Jaśkowiak znani są z

zaangażowania ideologicznego (za to niekoniecznie z dbania o rozwój zarządzanych przez siebie miast), to jednak sprawują stanowiska wymagające odpowiedzialności, tym bardziej, że zarówno Warszawa, jak i Poznań pozostają w czołówce zakażeń koronawirusem. Obaj także zarządzają miastami, w których katolicy muszą bronić kościołów przed profanacją. Błyskawica tak zwanego „strajku kobiet” na Pałacu Kultury i Nauki była bardzo smutnym symbolem, tego jak troska o mieszkańców miasta przegrywa z ideologią i interesem partyjnym. Takich samorządowców jest oczywiście wielu, ci dwaj są jednak na świeczniku, przez swoje zaangażowanie i wielkość miast. Również rektorzy wielu polskich uczelni oficjalnie poparli „strajk kobiet”, udzielając godzin rektorskich i publikując oświadczenia, podobnie uczyniły także liczne samorządy studenckie.

Muszę jednak zgodzić się z protestującymi w jednym, tak to jest wojna. To jest wojna nie tylko o aborcję, która już dawno zeszła na dalszy plan (mimo, że wbrew twierdzeniom części prawicy, wcale nie jest tematem zastępczym, a wielce istotnym). Walczymy o kształt naszego społeczeństwa, to czy staniemy się libertyńską, konsumpcjonistyczną masą (swoją drogą aż obrzydliwe jest, ile firm zwietrzyło łatwą kasę na wsparciu „protestów”), czy jednak zachowamy moralność, wiarę i tradycję. To wojna cywilizacyjna. Przy czym przypominam „protestującym”, że wojna to nie jest zabawa i piknik, jakby chcieli to widzieć.

Ostatni tydzień spędziłem podobnie jak zdecydowana większość polskich nacjonalistów – pod kościołem. Bardzo cieszy rozmiar mobilizacji środowisk narodowych, katolickich i kibiców – grupy chroniące katedr i najważniejszych świątyń w miastach powstawały spontanicznie, już w niedzielę. W wielu miejscach obrona kościołów została zorganizowana przez samych parafian. Zdecydowanie i liczebność obrońców zniechęciła „strajkujących” do ataków na kościoły. To na pewno jest dużym sukcesem. Chociaż dalej musimy być czujni, Wszystkich Świętych będzie tu kluczowe.

Strasznie trudny czas, kiedy idąc do kościoła jest się przygotowanym do jego fizycznej obrony. Dziwnie jest będąc na niedzielnej Mszy, podczas Przeistoczenia, obserwować czy nikt się nie zachowuje w sposób podejrzany. Od czwartku zacząłem się do tej sytuacji ciągłej gotowości przyzwyczajać, chociaż dla człowieka pracującego, spędzanie codziennie 6-7 godzin na czuwaniu pod kościołem, jest trudne nie tylko psychicznie, ale także fizycznie. Wbrew temu co mówią media, obrona kościołów to nie szukanie przygód spowodowane nadmiarem agresji, my stojąc pod kościołami naprawdę chcieliśmy się nudzić, co oczywiście nie zawsze było nam dane (wszystko zależy od tego kto gdzie bronił, w niektórych miejscach ciągle coś się działo). Chodziło i dalej chodzi o obronę naszej Wiary i Wartości.

Pisząc o zwycięskiej obronie kościołów, muszę jednak wspomnieć o bardzo przykrym zjawisku „katopacyfizmu”. W niedzielę, już po przerwaniu Mszy Świętej w poznańskiej bazylice archikatedralnej, śledziłem katolickie grupy na FB, toczyła się na nich gorąca dyskusja na temat obrony kościołów. Byłem przerażony poziomem pacyfizmu, nie tylko wśród dziewczyn, ale także chłopaków, w wieku okołostudenckim. Głosy, że nie należy się przeciwstawiać siłą, tylko za nich modlić, że niewpuszczanie do kościoła w Warszawie to już agresja.... Straszne co pacyfizm i wypaczone pojmowanie miłosierdzia robi ze współczesnymi katolikami. Mam nadzieję że to co się dzieje, jak również zdecydowana postawa części księży pomogą niektórym przejrzeć na oczy. Tym bardziej, że to właśnie w niedzielę organizatorzy tak zwanego „strajku kobiet” nawoływali do profanacji w kościołach. Jako katolicy musimy przestać chować głowy w piasek, nauczyć się bronić naszych Wartości. Zrozumieć, że jeżeli teraz będziemy bierni, nasze dzieci będą żyły w zupełnie innym świecie. Owszem modlitwa jest ważna, ale muszą iść za nią czyny.

Wśród polskich nacjonalistów oprócz katolików, jest także wielu rodzimowierców i niewierzących. Jednak to także Wasza wojna, co wielu z tego grona doskonale rozumie, broniąc kościołów ramię w ramię z

katolikami. Niezależnie od wyznania, należy mieć świadomość, że atak na kościoły oznacza atak na całe nasze dziedzictwo kulturowe. Oznacza nienawiść do Tradycji i moralności. Zwolennikom aborcji chciałbym przypomnieć, że katastrofa demograficzna Europejczyków jest spowodowana właśnie liberalizmem, hedonizmem i aborcją. Arabowie jej nie wykonują.

Masowe poparcie dla ostatnich wydarzeń pokazało, że tracimy nasz największy kapitał, to co do tej pory chroniło Polskę przed degeneracją moralną rodem z Zachodu, owszem pewne procesy było widać już od lat, przełomowym momentem, który powinien otworzyć ludziom oczy był czarny protest w 2016, teraz jednak wszystko wybuchło ze wzmożoną siłą. Zachowywaliśmy względną normalność dzięki zaszczepionemu katolicyzmowi kulturowemu, mimo coraz większej laicyzacji, pozostawaliśmy jako społeczeństwo pod dużym wpływem katolickiej moralności, Kościół, nawet mimo braku praktyk religijnych jawił się jako pewien punkt odniesienia, integralna część naszej tożsamości. To się właśnie zmieniło. Mogliśmy narzekać, na śmieszny, pozbawiony treści, kremówkowy „Katolicyzm”, ale to on jednak jakoś to społeczeństwo trzymał. Dzisiaj tego już nie ma. Pozostali oczywiście tak zwani twardzi katole, ale to właśnie „kremówkowi” byli tą w miarę sensowną masą.

Cieężko dziś przewidzieć jakie będą skutki protestów, choć w chwili obecnej bardziej prawdopodobnym wydaje się, kapitulacja rządu, który zaproponuje jakieś „kompromisowe” rozwiązanie. Co należy uznać za bardzo złą opcję, nie tylko z pozycji pro-life, jeżeli liberalna lewica, po raz kolejny, po czarnym proteście zyska poczucie sprawczości i skuteczności, stanie się jeszcze bardziej bezczelna. Tym bardziej, że dopiero co widziała Black Lives Matter w Ameryce i trwające protesty na Białorusi (które akurat są jak najbardziej słuszne, dla nich to jednak przykład walki „o liberalne wartości z podobnym do Kaczyńskiego dyktatorem”).

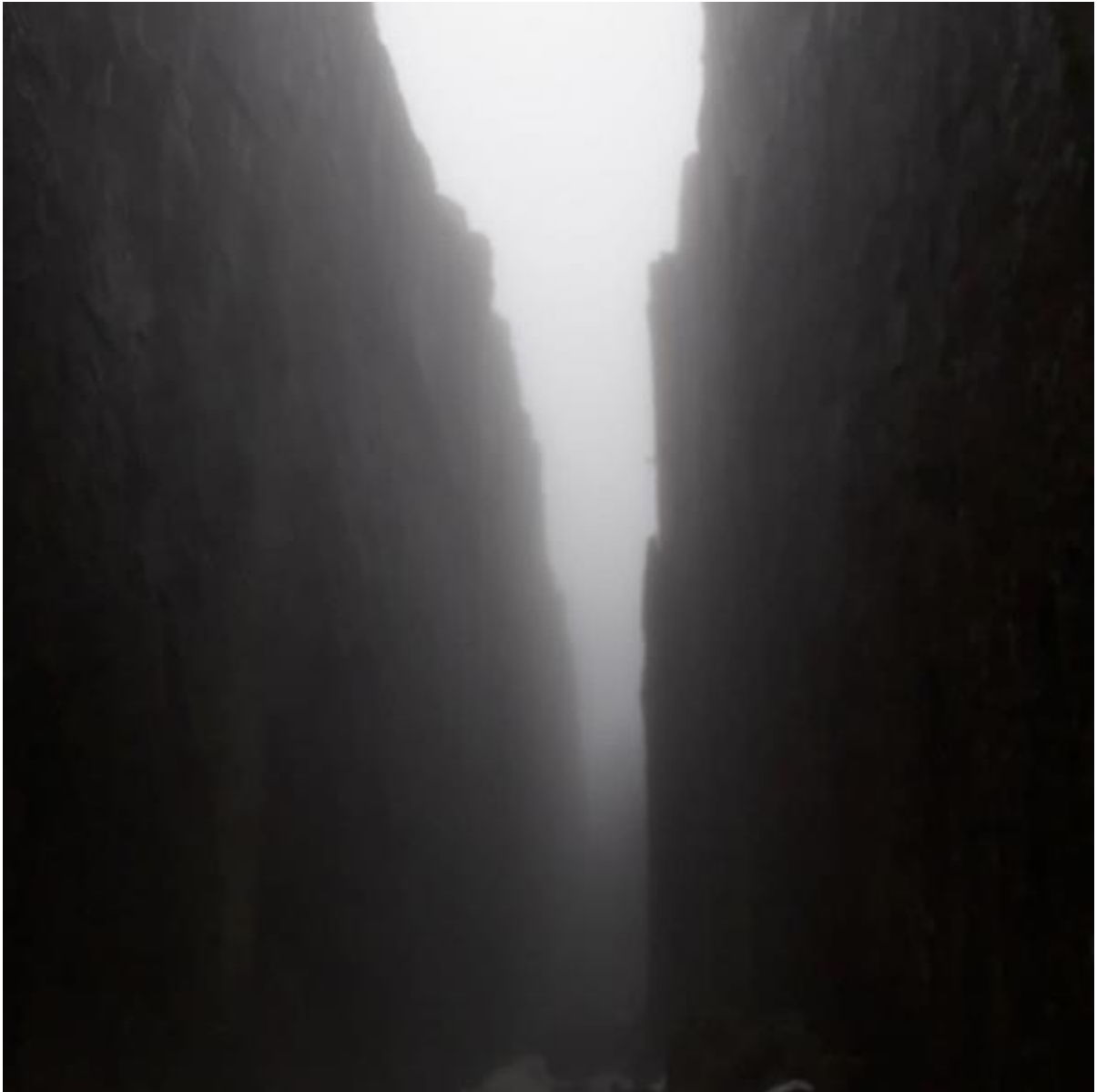
Kończąc chciałem podkreślić jeszcze jeden problem. Mianowicie państwo polskie, musi w końcu realnie zacząć wspierać osoby z niepełnosprawnością i ich rodziny. Zarówno jeżeli chodzi o dzieci, jak i dorosłych. To jest bardzo ważny problem społeczny i to powinno głośno wybrzmieć. Postulat pomocy rodzinom wychowującym ciężko chore dzieci. One się urodzą, ale wtedy obowiązkiem państwa jest wsparcie rodziców w zapewnieniu im opieki (póki co robi to głównie Kościół Katolicki).

Osobne słowo należy się okolicznościom pandemicznym. Naprawdę nie rozumiem, co trzeba mieć w głowach, żeby w czasie, kiedy każdego dnia mamy po ponad 20 tysięcy zakażeń, a liczba zgonów sięga 300 dziennie, organizować koronaparty na 100 tysięcy ludzi. Jestem w stanie zrozumieć, że komuś nie podoba się Konstytucja Kwaśniewskiego (sam bym w niej wiele zmienił), że nie zgadza się z orzeczeniem, i sposobem powołania Trybunału Konstytucyjnego. Natomiast nie rozumiem, co trzeba mieć w głowach, żeby w szczycie epidemii, zachowywać się w sposób tak nieodpowiedzialny i narażać życie nie tylko swoje, ale nas wszystkich. Z tego miejsca chciałem też prosić wszystkich o odpowiedzialność (choć i tak wiem, że Szturm czytają ludzie myślący), i powstrzymanie się od uczestnictwa w koronaparty 11 listopada. Naprawdę wystarczy nam zachorowań, być nacjonalistą znaczy roztropnie troszczyć się o swój naród. Oświadczenie środowisk nacjonalistycznych, podpisane także przez naszą Redakcję, stanowi właśnie wyraz odpowiedzialności. Potępiając koronaparty liberalnej lewicy, nie można organizować własnego.

Maksymilian Ratajski

Potęga smaku <https://www.youtube.com/watch?v=cluvCjonvpg>
Oświadczenie nacjonalistów w sprawie
MN <http://szturm.com.pl/index.php/miesiecznik/item/1148-oswiadczenie-w-sprawie-marszu-niepodleglosci-2020>

Karol Śląski - Społeczna szczelina, czyli jak pękła Polska



Tej przepaści nie przeskoczymy. Ale to nie my zaproszyliśmy pożar, to się tliło i co chwila dolewano tam oliwę, co gorsza pozwalano na to. Akceptowano cichego piromana kulturowego i społecznego w ramach pluralizmu. Nowa Lewica hojnie dotowana przez liberalny system oraz głąskana obrosła w piórka. Co gorzej, anektowała sferę kulturową i zaczyna obyczajową, podczas gdy prawica poszukuje wspólnego pola do debaty. Nie ma o tym mowy, to jest wojna. Stawki idzie o wszystko. To czego zdawali się nie rozumieć konserwatywni zwolennicy społecznego

kompromisu zdaje się sprawdzać. Huknęło, dawno zapełniana beczka z prochem wypaliła, na pewno mocno, nie wiemy tylko jakich zniszczeń dokonała, ale już pojawiła się na monolicie długa, krzywa, biegnąca wzdłuż całości rysa.

Oczywiście różnice światopoglądowe zawsze istniały, nie ma wspólnot jednomyślnych to normalne, a nawet w pewien sposób dobre. Ferment ideowy, konkurencja pomysłów to wdraża postęp. Jednak co innego, gdy do sfery centrum zbliża się ideologia nihilistycznie wywrotowa, poszukująca ciągłej zmiany, a nie naturalnej ewolucji społeczeństwa. Wtedy następuje podział, trwały i skuteczny. Polaryzacja, która trwała po cichu od dawna. Nasz środowisko zdawało się ją zauważać i grać na zasadach gry bez zasad, w której liczy się tylko przejście jak największej liczby zwolenników do czasu, w którym będziemy musieli się policzyć. Centrum jest już tylko polem ze żniwami. Tradycyjne społeczeństwo znika w ogniu rewolucji, pojawia się pytanie: my, albo oni?

Dwa bieguny

Są osoby, które chciałyby osiąść okrzakiem na barykadzie i modlić się o rozsadek. Niestety, wywrotowcy już podzielili społeczeństwo. Należało przejąć ich retorykę, wtedy może w chwili próby zostaliby z nielicznym wsparciem. Wołanie o kompromis i potrzebę debaty sprawnie wykorzystali do budowania zaplecza. Zrobili pierwszy głośny krok, przesunęto poprzeczkę dopuszczalności pogłądowej. Zrobiono to w nieoczekiwany sposób.

Świątynie, miejsca kultu i dziedzictwa narodowego oraz męczeństwa polskich patriotów były darzone czcią i szacunkiem, z pewnością były nienaruszalne. Oprócz garstki ekstremy degenerackiej nikt kto nawet psioczył na ciemnogrodzki polski katolicki patriotyzm nie śmiał podnieść na to ręki. Aż do października 2020 roku. Nowa Lewica bez pardonu wezwała tłumy do ataku na miejsca święte dla Polaków. Generacja Z

ruszyła bez wahania, wychowana na nihilistycznej popkulturze, oderwana od rzeczywistości social mediami, influencerskim stylem życia i zajęta problemami pierwszego świata. Młodzi mężczyźni zwani sojowymi chłopakami, lub simpami z niedoborem testosteronu w fałszywym przyпыwie rycerskich uczuć rzucili się bronić prawa wyboru. To był precedens, lewica zagrała skandalem pod urobione wcześniej propagandą pokolenie. Gdyby nie trzeźwiący „plaskacz” od nacjonalistów i kibiców oraz co bardziej krewkich katolików prawdopodobnie mielibyśmy Chile.

Przemoc znów pokazała swa przewagę w starciu z wrogiem bazującym na pierwotnych niszczycielskich instynktach niż umiarkowana merytokracja. Lewica pozbawiła swoich zwolenników logicznego myślenia i możliwości debatowania. Przecież w wojnie nie chodzi o to by negocjować z wrogiem, lecz by go zniszczyć, a to jest wojna totalna. O czym zapominają negocjatorzy z prawej strony. Przemoc jednak działa, niedoszli podpalacze kościołów i ikonoklaści zaczęli zastanawiać się czy się powinno, czy wypada, co za to grozi. Czy postulaty nowo-lewicowe są zgodne z ich sumieniem. Jak widać kilka kuksańców łagodzi obyczaje.

Po ulicznym wiadrze zimnej wody przyszedł czas na refleksje, te jak zwykle nie służą rewolucji. Tu lewicowa narracja z walki o ogólne dobro i prawo każdej kobiety (co jak się okazuje działa tylko w jedną stronę, bo kobiety przeciwne aborcji eugenicznej delikatnie mówiąc nie są mile widziane, ani proszone o głos, w sprawie wszystkich kobiet) szybko przeszła do lansowania swoich postulatów i zniknął uniwersalizm sprawy. Centrolewicowi liberałowie zaczęli krytykować posuwająca się radykalizację widząc w tym przechylenie się szali an stronę przeciwnika ideowego. Ataki na kościoły i zabytki znalazły słowa potępienia wśród szeregowych uczestniczek, jednak wśród liderów protestu nadal cieszą się sporym poparciem. Pojawiła się też oczywiście narracje o koczowniczości takich działań gdyż tylko to zmusi władze do uległości. Zaczęto też odbierać specjalne znaczenie obiektów nazywając je po prostu budynkami, reliktem jakiejś nic nie wartiej przeszłości., Dezawuować. Na niektórych podziałało.

Mimo wszystko nowej lewicy udało przesunąć się Okno Overtona w swoją stronę. Niedługo zapewne nastąpi faza normalizacji i gdy opadnie kurz wojenny na stałe w świadomość polska wbije się dewastacja miejsc kulturowo i duchowo ważnych. Jako element protestu. Obalono też mit nietykalności miejsc kultu, a zarazem na ulice wyszła hiperseksualna bomba epatująca zgorzeniem. Wulgarność protestu przyćmiewała wszystko. O ile uliczne demonstracje zawsze charakteryzują się swoistym knajactwem o tyle tu hasła, postulaty były wyrażane obsceniczne dla obsceniczności. Wulgarność była nie tylko środkiem wyrazu, lecz wręcz programem. Prymitywizm i brak poszanowania do czegokolwiek charakteryzuje nowolewicowe środowisko od lat. Oczywiście podszyty nowomodnym intelektualizmem jednak prowadzi do jednego. Wyprucia człowieczeństwa i pierwiastka duchowego by zostawić nagi amoralny instynkt. Skandal wygrał debatę publiczną. Skandal i przemoc. Lewica mimo braku poparcia swoich postulatów stworzyła podwaliny bazy społecznej, teraz od nich zależy jak to wykorzystają. Jednak w społeczeństwie mamy już szczelinę. Przepaść, której nie wypełni prawicowe biadolenie. Tu będzie tylko wojna.

Głos Naczelnika

Gdy nastroje sięgały zenitu, na ulicach już trwały walki w obronie ważnych dla Polaków miejsc, szara eminencja polskiej polityki postanowiła rozbujać łajbę jeszcze mocniej. Niespodziewane wręcz przemówienie Kaczyńskiego doprowadziło do burzy i zamieszania. W kłopotliwej sytuacji znaleźli się kibice i nacjonaści posiadający zapewne podobne pokłady sympatii do prezesa PiS jak i antify.

O ile kibice jak się okazało moralnie nie chcą stawać po stronie całkowitego zakazu i popierają kompromis o tyle nie zgadzają się na politykę PiS i Nowej Lewicy. Bronią tego co ważne i nie chcą być mieszanymi w polityczne

nastroje. Stoją po stronie Narodu i Tradycji przeciwko siłom destrukcji, nie po stronie demoliberalnej partii.

Tu dochodzimy do punktu, w którym ukazuje się sens demoliberalizmu. *Divide et impera* w pełnej okazałości. Interes partyjny staje się ważniejszy niż próba przeciągnięcia ludzi na stronę Prawdy. Nie istnieje dobro i zło tylko makiaweliczne zagrywki. Kaczyński chce sobie przypisać obronę kościołów i zabytków, po tym jak sama spontanicznie się zaczęła. Przy okazji silniej spolaryzować społeczeństwo. Do tego na siłę do jego obozu zostaną dopisani ci, którzy są mu niechętni. Nie zyskuje tym zwolenników, ale sprawia, że każdy obrońca Tradycji będzie stygmatyzowany popieraniem PiS. Siła rzeczy wpycha ludzi do swojego obozu. Z drugiej strony odpycha wszystkich z centrum na przeciwległe bieguny. Medialnie i fałszywie, ale dla mas taki obraz za jakiś czas stanie się prostszy.

Z kolei już PiS zapowiada zmiany w konstytucji. Czy możliwym jest zagranie gdzie centroprawica zliberalizuje aborcje w zamian za ... dogodne dla niej zmiany konstytucyjne, które będą musi poprzeć liberałowie i rosnąca w siłę lewica, która właśnie napęczniała mimowolnie od nieuformowanego jeszcze elektoratu? Możliwe, to jedna z opcji. Ewentualnie wrzucenie wszystkich w nieustający konflikt miało być szansą na zachowanie władzy przez PiS jako jedynej stabilizującej alternatywy wobec oszołomstwa Nowej Lewicy.

Co ciekawe inteligencja centroprawicowa nagle zarzuciła narrację o poszukiwaniu dialogu po wystąpieniu swojego Wodza. Czyżby zakończono próby szukania wspólnego mianownika i nowa strategią będzie demoliberalny konflikt? Kulturowo i tak jest już pozamiatane nie ma uformowanych baz społecznych, będzie więc to wojna na emocje i odbijanie sobie wolnych elektronów, aż w końcu w centrum sporu nie zostanie nic. I z pewnością w tym konflikcie nie wygra ani Tradycja, ani Prawda ani Naród. To nie jest polaryzacja kulturowo tożsamościowa, a

raczej jak już to tylko z jednej strony z drugiej ściśle partyjna.

Stało się

Nie możemy obwiniać się za pęknięcie. My nacjonaści, ludzie przywiązani do Tradycji byliśmy tu od zawsze, to było nasze naturalne środowisko. Prądy wywrotowe zawsze są obce, pragną ciągłej zmiany. Budują wszystko na chaosie, gdy nasza podstawa ideowa jest kosmos., porządek. Oni oczywiście pierwsi dążyli do konfliktu i robili wszystko by zaistniał. Nie brali jeńców. W Szturmie nie raz pojawiły się teksty o strategii Nowej Lewicy nie warto od nowa lać wody.

Konserwatyści, wszyscy umiarkowani realiści widząc co się zbliża nie załapali zasad gry, chcieli bawić się w dżentelmenów, których obchodzi dyskusja i szermierka argumentami. Nie jorgnęli się, że nowi barbarzyńcy nie będą stawać z gardą tylko zwyczajnie wyciągną spluwę i pociągną za spust.

Realiści chcieli obcinać radykalne skrzydła nacjonalistów, gdy tymczasem lewica swoich tłumaczyła i robi to dalej z antifa mimo niechęci nawet protestujących do anarchistycznych bojówek. I to daje efekt coraz więcej osób jest przekonanych. Że albo antifa nie było, a jak była to nie była taka zła. Natomiast przemoc ze strony kibiców czy nacjonalistów jest potępiana przez liderów ugrupowań prawicowo-narodowych. Nadal, mimo wszystko działał ten sam mechanizm, zero wniosków, zero refleksji.

Nie dzielimy jednego kraju, nie dzielimy jednej sfery publicznej, pora zrozumieć, że o nią rywalizujemy, nie partyjnie jak PiS, ale cywilizacyjnie. Tak Nowa Lewica to zupełnie inna cywilizacja. To łupieżca, najeźdźca, ewentualnie wewnętrzny wróg. I tylko w takich kategoriach możemy na nich spoglądać.

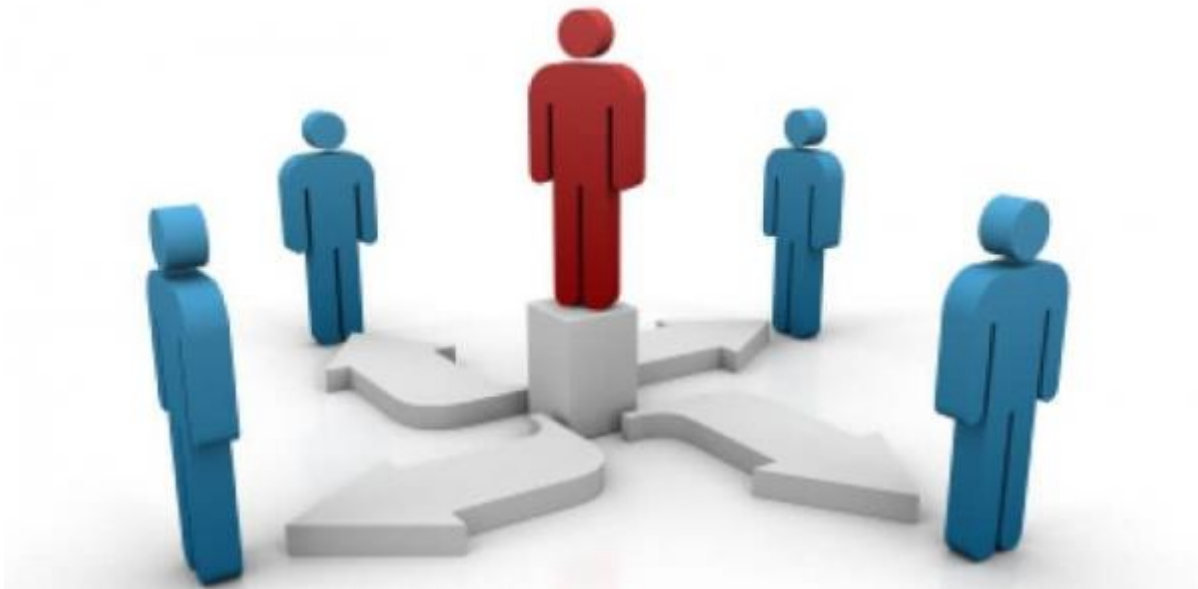
Przez demoliberalizm i rozpasanie nowolewicowych degeneratów nie ma

mowy już o spokojnych, albo nawet żywiołowych dyskusji przy piwie z przyjaciółmi czy w gronie rodzinnym o sprawach społecznych, kulturze a nawet przyziemnych dotyczących kwestii wspólnotowej. Każdy temat, który może wywołać dyskusje zaraz skończy się awanturą. Idea lewicowego nihilizmu i partyjniactwa populistów raczej na trwałe podziela Naród i strukturalnie wyglądamy jak Zachodnie społeczeństwa. Klasizm, zwalczające się ideowe obozy i stygmatyzowani obrońcy Tradycji, wspólnoty i Prawdy.

Jako nacjonaści musimy wiedzieć, że mimo iż protesty się wypalają i nowobogackie dzieci poszły do domów sztorm się nie skończył. Musimy zdecydować czy będziemy okrętem, kapitanem lub wiatrem i falą. Wszystko to ma wpływ na załogę, która jest Naród. Musimy postępować zarówno mądrze, ale nie wpadać w oportunizm. Żadnego kroku wstecz. Non possumus.

Karol Śląski

Norbert Wasik - Zarys myśli samorządowej w narodowo-radykalnych koncepcjach okresu międzywojnia



Myśl narodowo-radykalna w Polsce okresu międzywojnia wbrew panującej dziś opinii była ogromnie zróżnicowana, a przy tym prawdziwie ideowo pluralistyczna i co ciekawe często sprzeczna sama w sobie. I tak wśród teoretyków, bądź co bądź secesjonistów endeckich, mieliśmy osoby opowiadające się za współpracą z narodowymi demokratami oraz jej zdecydowanych oponentów, monarchistów, ale i korporacjonistów, totalistów i demokratów nacjonalistycznych, zwolenników decentralistycznego, szerokiego samorządu i jego kontrolowanej przez władze państwowe wersji.

Dyskusje ustrojowe środowisk narodowo-radykalnych w głównej mierze rozwinęły się w latach 1933-1936 i o ile kwestie samorządu terytorialnego nie były w nich jakimś priorytetem, o tyle są one bardzo interesujące chociażby ze względu na panujące w nich spore sprzeczności i to nie tylko w odniesieniu do różnic wynikających z przynależności organizacyjnej poszczególnych autorów – działacze Obozu Narodowo-Radykalnego i

Ruchu Narodowo-Radykalnego – ale także w ramach struktur tych konkretnych formacji.

Ruch Narodowo-Radykalny Falanga

Programowe publikacje Bolesława Piaseckiego takie jak: *„Równość w państwie narodowym”*, *„Zarys narodowego ustroju politycznego”* i *„Zarys Ustroju Polski Narodowej”* postulowały budowę ustroju elitarno-hierarchicznego opartego na dwóch kluczowych instytucjach: Organizacji Politycznej Narodu i Organizacji Polityczno Wychowawczej. Samorząd terytorialny nie mieścił się w granicach budowanego ustroju, a sam przyszły Kierownik Główny Ruchu Narodowo-Radykalnego dopuszczał go na zasadzie specyficznego odstępstwa i wyjątku. Kolosalne znaczenie miał tu fakt kontroli decyzji samorządu przez władze państwowe¹ i – w przeciwieństwie do koncepcji ONR ABC – silnej centralizacji władzy. Piaseckiemu wtórował Marian Reutt, którego postać, a zwłaszcza jego poglądy społeczne, już wśród samych działaczy RNR, budziły wiele kontrowersji. Reutt opowiadał się za istnieniem samorządu wyłącznie jako organu pomocniczego, doradczego i ściśle uzależnionego od organów administracji państwowej i odpowiednich struktur Organizacji Politycznej Narodu, które miałyby wchodzić w skład kierownictwa samorządów lokalnych. *„Samorząd jako organ doradczy należy utrzymać za zachowawczy głos decydujący, organom miejscowym władzy państwowej i czynnikom kierującym organizacją narodu, które jednocześnie będą wchodziły w skład dawnej grupy samorządu w charakterze kierowników danego organu samorządowego”²* – pisał Reutt.

Nieco odmienną wizję samorządu terytorialnego miał jeden, obok Piaseckiego, z głównych ideologów i publicystów Ruchu Narodowo-Radykalnego, Wojciech Wasiutyński. Otóż w jego założeniach samorząd miał pełnić prestiżową rolę w przyszłym państwie narodowym, w którym podział władzy obejmował administrację rządową i będącą tu z kolei

oznaką decentralizacji – samorządową³. Jak twierdzi badacz zajmujący się koncepcjami samorządowymi Obozu Narodowego Grzegorz Radomski, Wasiutyński cyt. „poprzez samorząd rozumiał (...) każdy związek społeczny posiadający uprawnienia publiczne, a jednocześnie niestanowiący administracji państwowej. Samorząd miał adaptować się do potrzeb lokalnych i grupowych, a swoje istnienie opierać na przywileju. Każda gmina, powiat, miasto i stowarzyszenie rządziłoby się wówczas odmiennie. Niejako przy okazji Wasiutyński zalecał zachowanie samorządności rodzin, która miała ułatwiać zaakceptowanie hierarchii narodowej”⁴. I chyba nie sposób się nie zgodzić z Radomskim, chociażby zaznajamiając się z artykułem Wasiutyńskiego z „Akademika Polskiego” „Ustrój Polski Narodowej?”, w którym stwierdzał: „Jest pojęcie hierarchii i pojęcie przywileju. I są odpowiadające im pojęcia władzy i samorządu. Zasadą samorządu jest to, że nie jest on jednakowy, że każda wieś, każde miasto, każdy związek, każdy nawet człowiek powinien mieć swój własny, w ściśle określonych granicach zawarty, ale w tych granicach niekontrolowany, zakres działania: wieś A inny jak wieś B, a związek X inny jak związek Y. Uważam, że musi być tak, że zachowany samorząd polityczny oparty na ugrupowaniach politycznych, byle stojących na gruncie narodowym, niepodległych żadnej międzynarodówce”⁵. Dość intrygująco koncepcje Wasiutyńskiego interpretuje B. Smolik, który twierdzi, że: „koncepcja dychotomiczności władzy była więc konsekwencją przyjęcia tezy o właściwych psychice polskiej instynktach gromady i wolności, a zarazem próbą ich praktycznego pogodzenia”⁶. Decentralizacja według Wojciecha Wasiutyńskiego zakładała istnienie w państwie samorządu terytorialnego, którego samodzielność, z drobnymi wyjątkami, państwo respektuje. Wasiutyński dowodził przy tym, że podstawowym celem działalności władzy lokalnej jest zidentyfikowanie, organizacja i zaspokajanie zbiorowych potrzeb miejscowej ludności.

Zupełnie z innego i jakże przeciwstawnego założenia wychodzili w ramach RNR, wspomniani już Bolesław Piasecki i Marian Reutt, którzy to żywili

przekonanie, że w systemie scentralizowanym układy lokalne są pojmowane przez centrum jedynie jako przedmioty zarządzania, co samo w sobie ograniczało niezależność samorządów w stosunku do decyzji państwowych. Piasecki zakładał, że istnieć może tylko jedna właściwa wola zbiorowa, w której nie można tworzyć innych pozapaństwowych ośrodków decyzyjnych. Rezultatem takiego ujęcia była pojawiająca się coraz częściej wśród kolejnych publicystów RNR Falanga tendencja do centralizacji władzy w państwie.

Obóz Narodowo-Radykalny ABC

W odróżnieniu od Ruchu Narodowo-Radykalnego Falanga, który pojmował rolę samorządu terytorialnego jako swoistej, kontrolowanej przystawki w ramach Organizacji Politycznej Narodu, Obóz Narodowo-Radykalny ABC zajmował stanowisko bardziej przychylne niezależnym samorządom.. I tak publicyści ONR ABC w przeciwieństwie do działaczy RNR Falanga opowiadali się za decentralizacją państwa na korzyść zwiększenia niezależności i kompetencji samorządów. Wyjątkową rolę dla samorządów przewidywał m.in. Jan Korolec. Pisał on: *„Znaczną część funkcji publicznych zamiast państwa spełniałby samorząd zarówno terytorialny, jak i zawodowy. Cechą jego najbardziej typową byłaby różnorodność form. Samorząd musiałby mieć szeroki zakres swobody. Prawo wyborcze do samorządów mieliby wszyscy obywatele (wyjątek Żydzi)”*⁷. Tadeusz Gluziński, autor niemalże kultowej w kręgach przedwojennych narodowych radykałów książki „Odrodzenie idealizmu politycznego” uważał, że stworzenie samorządu bez umożliwienia mieszkańcom prawa do swobodnego wybierania swoich przedstawicieli, wytworzenia wśród nich pełnej odpowiedzialności za własną wspólnotę lokalną oraz ograniczenie ich praw do uczestnictwa w zarządzaniu sprawami publicznymi, przyniesie efekt uboczny w postaci zwiększenia biurokratycznego charakteru państwa. Ze względu na możliwość realizowania tej odpowiedzialności w najbardziej bezpośredni sposób, samorząd terytorialny miał mieć szczególne istotne znaczenie dla

funkcjonowania struktur przyszłego państwa narodowego. Równocześnie wyposażenie społeczności lokalnych w rzeczywiste uprawnienia stwarzało według Gluzińskiego dogodne warunki dla rozwoju całego Narodu. *„Nie wolno zapominać, że istotą samorządu jest świadomość wśród jego uczestników, że jest on czymś rzeczywistym, nie czymś fałszowanym. Sama instytucja wybieralności rad gminnych, czy sejmików nie stwarza samorządu tak samo, jak instytucja wyboru posłów nie stwarza przedstawicielstwa ludności. Samorząd – to obarczanie pewnej części ludności odpowiedzialnością za sprawowanie władzy w pewnym zakresie na pewnym obszarze; nie może być jednak odpowiedzialności bez rzeczywistego prawa decyzji. Samorząd zależny od rządu, czy organów administracji – to właściwie tylko nowa forma rządów biurokracji”*⁸ – pisał w 1935 r. Tadeusz Gluziński.

Również związany z ONR ABC Janusz Sas-Wisłocki, notabene deklarujący się jako zwolennik koncepcji monarchistycznych – co należy przyznać, w środowiskach narodowo-radykalnych było spory ewenementem, chociaż nie jedynym wyjątkiem – domagał się wprowadzenia samorządów, a ściślej podziału na administrację państwową i samorządową. Ciekawe stanowisko zajmował natomiast Jan Mosdorf, formalnie już w tym czasie nie związany z żadną z secesyjnych grup narodowych, ale z ideowego punktu widzenia będący blisko założeń ONR ABC. W swojej książce *„Wczoraj i jutro”* stwierdzał: *„Samorząd wiejski obok silnie już rozwiniętego samorządu miast mógł z czasem doprowadzić do rozwoju w Polsce prawdziwego, trójstanowego parlamentaryzmu pod silnym kierownictwem korony”*⁹. Mosdorf opowiadając się za tzw. samorządami regionalnymi był przekonany, że uzupełnieniem samorządu terytorialnego musi być szeroko rozbudowany samorząd gospodarczy, zaś zakres spraw samorządowych powinien być szeroki, ustrój samorządu oparty nie na hierarchii i nominacji, lecz na wolnych wyborach, a uprawnienia członków Organizacji Politycznej Narodu zrównane na jego terenie z prawami ogółu. **W ten sposób ograniczał ryzyko, iż OPN stałaby się**

organizacją stricte dyktatorską, wkraczającą w najdrobniejsze sprawy każdego człowieka.

Przedwojenny narodowo-radykalizm przez cały okres swojego rozwoju zachował – zresztą tak jak cały Obóz Narodowy – iście wielonurtowy charakter, w efekcie czego dyskusje toczone na łamach prasy narodowo-radykalnej niejednokrotnie przybierały formę stricte polemiczną, zwłaszcza w stosunku do rywalizujących między sobą organizacji – ONR ABC i RNR Falanga. Co ciekawe nie był on nigdy monolitem, nawet wśród przedstawicieli rodzimych organizacji, rozbudowanego i zwartego ustroju. Ustrojowe – zwłaszcza samorządowe i gospodarcze – rozważania przedwojennych narodowych radykałów były na etapie pewnych zróżnicowanych i często sprzecznych przemyśleń, co niewątpliwie sprawia, że dziś ciężko mówić o jednej spójnej myśli samorządowej – i to nie tylko – tegoż nurtu. Pomimo tego możemy pokusić się o stwierdzenie, że w myśli narodowo-radykalnej okresu międzywojnia toczył się spór pomiędzy dwoma sposobami pojmowania istoty samorządu terytorialnego. Pierwszy, za którym opowiadało się środowisko ONR ABC i część działaczy RNR Falanga, grupował zwolenników koncepcji o samoistnym ukształtowaniu się samorządu i w związku z tym jego swoistej autonomii wynikającej z naturalnych praw gmin. Drugi zaś, będący raczej opcją wypływającą z łona radykalnie społecznie RNR Falanga, a właściwie jej części, podkreślał ścisły i gruntownie uzależniony związek samorządu ze strukturami centralnymi państwa.

Na zakończenie warto zwrócić uwagę, iż przedstawione powyżej narodowo-radykalne koncepcje samorządowe lat 30 XX wieku są wyłącznie pewnym ich zarysem i zupełnie nie wyczerpują całości zagadnienia.

Norbert Wasik – urodzony w 1976 r. w Zakopanem. Absolwent Kolegium Jagiellońskiego - Toruńskiej Szkoły Wyższej. Manager

związany z sektorem FMCG. Dumny mąż i ojciec. Publicysta, działacz społeczny i narodowo-radykalny. Biegacz amator i fan długich dystansów, pasjonat historii, gór, górali i góralszczyzny. Idealista, romantyk i pragmatyk w jednej osobie, entuzjasta innowacji i nowych technologii.

BIBLIOGRAFIA:

1. G. Radomski, *Samorząd terytorialny w myśli politycznej Narodowej Demokracji 1919-1939*, Toruń 2009 r.
2. M. Reutt, *Uwagi o ustroju przyszłej Polski*, Akademię Polski 4 grudnia 1933 r., nr 6.
3. W. Wasiutyński, *Ustrój Polski Narodowej?*, Akademię Polski 10 listopada 1933 r., nr. 4.
4. A. Dawidowicz, E. Maj, *Prasa Narodowej Demokracji 1886-1939*, Wyd. Naukowe UMCS, Lublin 2010.
5. W. Wasiutyński, *Ustrój Polski Narodowej?*, Akademię Polski 10 listopada 1933 r., nr. 4.
6. B. Smolik, *Myśl polityczna Wojciecha Wasiutyńskiego*, Toruń 2004 r.
7. J. Korolec, *Ustrój polityczny Nowej Polski*, [w:] J. Majchrowski, *Szkice z historii polskiej prawicy politycznej w latach II Rzeczypospolitej*, Kraków 1986r.
8. T. Gluziński, *Rząd a przedstawicielstwo ludności*, Nowy Ład, nr 2, 1935, s. 4.
9. J. Mosdorf, *Jedność w wielości*, [w:] *Wczoraj i jutro*, Warszawa 1938 r.

Henryk Witkowski - Kiedy przyjdą podpalić dom



Non auro, sed ferro, recuperanda est patria.
Juliusz Cezar

Kiedy nadejdą, zobaczą nas czuwających i gotowych na odparcie furii ich ataku. Kiedy nadejdą będziemy gotowi, a nasze dusze będą płonąć blaskiem wiary, tej siły której im brak. Kiedy przyjdą z pochodniami w rękach, napotkają nasze chłodne i opanowane spojrzenia. Kiedy tłum nadbiegnie w opętającym szale, spotkają nas pełniących wartę na stopniach naszych Świątyń.

Cały ten chaos można bardzo łatwo zgonić na rewolucję, anarchię i kryzys w państwie. Oczywiście jest wiele prawdy w powyższym, lecz tym co jest niezauważalne i szczególnie niebezpieczne to kryzys tożsamości młodych ludzi.

Czy normalnym stanem rzeczy jest widok 13letnich, bądź najwyżej 16letnich dzieci na strajkach, które wykrzykują skrajnie (niezrozumiale przez nich samych) wulgarne hasła? A przecież większość „czarnych

protestów” ma właśnie twarz nastolatków, którzy nawet czubkiem nosa nie weszli w okres dojrzewania, o dorosłym życiu nawet nie wspominając. Zapewne psychologowie i socjologowie znajdą milion definicji tłumaczących takie zachowanie, lecz wytłumaczenie tego jest bardzo proste- kryzys autorytetów i tożsamości.

Kryzys ten został wywołany przez media społecznościowe, oferty łatwego życia, chodzenia na skróty, braku wysiłku. Tam gdzie nie ma trudów w pokonywaniu barier tam nie ma nic. Dochodzimy do paradoksu gdzie łatwiejsze jest wyjście na ulicę przy akompaniamencie wulgarnych haseł niż np. sięgnięcie do lektury, czy pójście na siłownię, gdzie kiedyś...było zupełnie odwrotnie, ponieważ to ulica weryfikowała to kim jesteśmy. Młodzież puszczona samopas zaczyna zatracać się w tym chaosie setek haseł, wrzasków, tłumu ludzi nijakich, przejmując ich zachowanie aby później zarazić nim innych.

Oczywiście, można wszystko tłumaczyć wiekiem, czasami, ale...większość z nas nigdy nie była aniołkami, robiło się różne głupie rzeczy, ale każdy z nas wyniósł z domu a później z ulicy pewien kod wartości i hierarchię zasad, którym kierujemy się aż do dnia dzisiejszego. Młodzież jest tego pozbawiona, w czym nie pomagają zarówno rodzice, szkoła ani media. Ich życie jest jak zapakowane w piękny, kolorowy i świecący papier, spleśniałe ciasto, które z jednej strony kusi, a z drugiej nie oferuje żadnego smaku.

Wymagajcie od siebie choćby inni od was nie wymagali.
-św. Jan Paweł II.

Henryk Witkowski

Wywiad z Socjalną Alternatywą



Szturm: Socjalna Alternatywa to młoda inicjatywa na polskiej scenie nacjonalistycznej. Jej pojawienie się mogło ominąć wielu ludzi ze środowiska. Kiedy się powstała i co było do tego impulsem?

SA: Geneza Socjalnej Alternatywy jest dość prosta. Projekt ten na samym początku swego istnienia miał być po prostu stroną o tematyce socjalnej, antykapitalistycznej i nacjonalistycznej. Jednakże pomysłodawca i założyciel będący osobą, dla której "działanie z kanapy" jest synonimem

bierności, szybko zaangażował szyld SA w proste akcje takie jak sprzątanie lasów, zbiórki na schroniska czy potrzebujących, akcje ulotkowe i plakatowanie, organizowanie pikiet. Po jakimś czasie do projektu zaczęły się zgłaszać osoby chętne do współpracy, inicjatywa zaczęła się formalizować i przybierać obecny kształt. Ciężko jest zatem wyznaczyć konkretną datę pojawienia się SA jako takiej. Jeśliby liczyć czas od momentu pierwszych akcji w terenie, to na chwilę obecną (październik 2020 roku) funkcjonujemy pod tym szyldem już od kilku miesięcy.

Szturm:Jakie są jej główne założenia i cele?

SA:Nasz projekt ma na celu w szczególności poruszanie tematyki socjalnej, to jest społecznej. Pomijając naszą „klasyczną” działalność nacjonalistyczną, czyli to co robi praktycznie każde nacjonalistyczne zrzeszenie, to głównie skupiamy się na sprawach takich jak solidaryzm, antykapitalizm i ekologia. Propagujemy zdrowe poglądy w społeczeństwie, ale również bezpośrednio do niego wychodzimy. Staramy się działać oddolnie oraz docierać do ludzi zarówno słowem jak i czynem. Nie tylko mówimy w danej chwili co trzeba uczynić, tylko bierzemy się do pracy i to robimy. Zachęcamy rodaków do dbania o lokalny ekosystem, a także sami prowadzimy akcje takie jak chociażby sprzątanie lasów. Nie rzucamy pustymi frazesami o solidarności, a organizujemy akcje charytatywne i wspieramy Polaków w trudnych dla nich chwilach. Naszą podstawą jest aktywizm. Nie organizacja wielkich marszy czy medialnych konferencji, a raczej szereg drobnych akcji od pikiet antykapitalistycznych i działań informacyjnych po inicjatywy charytatywne i społeczne.

Szturm:Skąd pomysł na nazwę SA oraz posługiwanie się symboliką czarnych szcurków?

SA:Pierwszy człon naszej nazwy określa tematykę, na której się skupiamy, drugi mówi o naszych działaniach i ambicjach. Może to zabrzmieć teraz nieco patetycznie, ale naszym celem jest bycie alternatywą dla

prześląkniętego neoliberalizmem i egoizmem społeczeństwa. Chcemy pokazać, że w tych trudnych czasach możliwa jest inna postawa i istnieją ludzie, którzy ją reprezentują. Co do symboliki to składają się na nią dwie rzeczy. Po pierwsze jest to oczywiste nawiązanie do francuskiego GUD'u i ogólnie nowoczesnych ruchów nacjonalistycznych. Po drugie nasze szczury symbolizują silny nacjonalizm. Jako nacjonaści zupełnie tak jak szczury wywołujemy u konformistów i posłusznych niewolników systemu strach i niechęć. Podobnie jak one jesteśmy tępieni i zwalczani wszelkimi możliwymi sposobami i znów, podobnie jak one mimo prześladowań i represji ciągle trwamy i żyjemy. Szczur to również zwierzę społeczne. Niewielu wie, że szczury w samotności cierpią i chorują, że są zdolne do empatii, że wspierają słabszych członków swojego stada.

Szturm:Czy w ramach Socjalnej Alternatywy utożsamiacie się z jakąś konkretną doktryną nacjonalistyczną? Jeśli tak, to z jaką?

SA:Zacytować tu należy fragment naszego zarysu ideowego: „Jako przeciwnicy doktrynerstwa i wpisywania się w sztywne schematy, nie identyfikujemy się z żadnym konkretnym nurtem narodowym. Nacjonalizm jest wszak ideą żywą, która musi dostosowywać się do aktualnej sytuacji geopolitycznej i społecznej. To co jest słusznym rozwiązaniem dzisiaj niekoniecznie będzie słuszne za dekadę. Zamiast sztywnego trzymania się doktryn wolimy przyjmować osobny pogląd na każdą istotną kwestię.” Oczywiście nie oznacza to, że nie kierujemy, ani nie inspirujemy się poszczególnymi nurtami nacjonalizmu. Czerpiemy z wielu i sympatyzujemy z doktrynami takimi jak chociażby strasseryzm, narodowy-syndykalizm czy polski falangizm.

Szturm:Na jakich płaszczyznach funkcjonuje SA?

SA:Przede wszystkim prowadzimy działalność informacyjną i propagandową, zarówno internetową jak i uliczną. Zajmujemy się również "aktywizmem bezpośrednim" przez co rozumiemy między innymi akcje

charytatywne i ekologiczne. Nasi działacze zajmują także szeroko pojętą publicystyką narodową, pisząc chociażby do nacjonalistycznych portali informacyjnych takich jak na przykład Szturm.

Szturm:Czy planujecie jeszcze rozszerzyć zakres tej działalności?

SA:Oczywiście. Cały czas się rozwijamy i mamy nadzieję, że wraz z przyrostem działaczy i możliwości poszerzy się również zakres naszej działalności.

Szturm:Jak zbudowana jest struktura organizacyjna Socjalnej Alternatywy?

SA:Na tę chwilę jest ona jeszcze stosunkowo luźna, dopiero zaczyna się formalizować i ujednoczać jak cała nasza organizacja. Jest ona oparta o pojedyncze komórki przypisane miejscowościom, z których to pochodzą ich działacze. Są one kierowane przez lokalnych liderów, którzy to zajmują się koordynacją pracy zresztą komórek. Jest to jednak struktura czysto użytkowa, bez popadania w zbędny formalizm i nikomu niepotrzebne funkcje czy stanowiska.

Szturm:Które obszary terytorialne objęte są Waszym aktywizmem?

SA:Nie mamy wytyczonych sztywnych granic co do działalności. Nasi działacze niejednokrotnie podróżują po kraju, a i często zdarza się, że w celu przeprowadzenia jakiejś akcji udają się też do sąsiednich miejscowości. Nasze główne komórki znajdują się we Wrocławiu i Gnieźnie. Mamy również mniejsze oddziały w innych miejscowościach, między innymi w Dębicy. Z oczywistych powodów jednak to te dwa pierwsze miasta wiodą u nas prym.

Szturm:Jak wygląda wstępowanie w szeregi SA?

SA:Z uwagi na to, że wciąż jesteśmy organizacją młodą, która nie liczy dużej ilości członków, a także nie została jeszcze sztywno sformalizowana, dołączenie do nas nie wiąże się ze ścisłą procedurą. Osoby chętne do włączenia się w nasz projekt kontaktują się z jego kierownictwem poprzez lokalnych działaczy lub media społecznościowe (które niestety skrupulatnie są cenzurowane i usuwane), a cały proces rekrutacji odbywa się poprzez rozmowę oraz wspólną działalność z naszymi aktywistami. Potem następuje okres próbny, jeżeli współpraca przebiega pomyślnie, a osoba działa aktywnie to jej kandydatura jest akceptowana.

Szturm:Czy współpracujecie bliżej z innymi organizacjami nacjonalistycznymi? Jeśli tak to z jakimi?

SA:Współpracujemy głównie z Trzecią Drogą. Lokalnie także z wrocławskim ONRem, a nasz oddział w Gnieźnie utrzymuje dobre kontakty z chociażby Nacjonalistycznym Górnym Śląskiem. Ponadto staramy się uczestniczyć we wszystkich większych akcjach organizowanych przez nacjonalistów na terenie całego kraju. Byliśmy między innymi na marszu antyszowinistycznym organizowanym w Gdańsku przez autonomicznych nacjonalistów czy też na lipcowym marszu zarejestrowanym przez NGŚ „Katowice miastem nacjonalizmu”.

Szturm:Jakie są Wasze plany na najbliższą przyszłość? Czy chcielibyście zapowiedzieć coś w imieniu Socjalnej Alternatywy na łamach „Szturmu”?

SA:W przyszłości chcemy przede wszystkim przyciągnąć do siebie nowych aktywistów, dzięki którym forma i częstotliwość naszych akcji zyskają na jakości. Pragniemy także nieść nasz narodowo-socjalny przekaz i rozpowszechniać go jak tylko możemy. Z konkretów, na chwilę obecną rozpoczęliśmy już akcję cykliczną, która polega na rozdawaniu żywności

osobom bezdomnym i potrzebującym. Zapowiada się na to, że będzie ona teraz jedną z naszych priorytetowych inicjatyw i być może wyewoluuje w coś większego. W zamyśle trwać ona miała od października aż do kwietnia, lecz nie wykluczamy przedłużenia tego cyklu. Trwa również praca nad pierwszym numerem naszego czasopisma, które realizujemy w formie zina. Jego premiera najprawdopodobniej będzie mieć miejsce 11 listopada 2020 roku.

Zapraszamy na kanał Socjalnej Alternatywy w aplikacji Telegram:
t.me/antykapitalizm

Chętnych od osobistego kontaktu prosimy o pisanie maili na adres:
socjalnaalternatywa@gmail.com